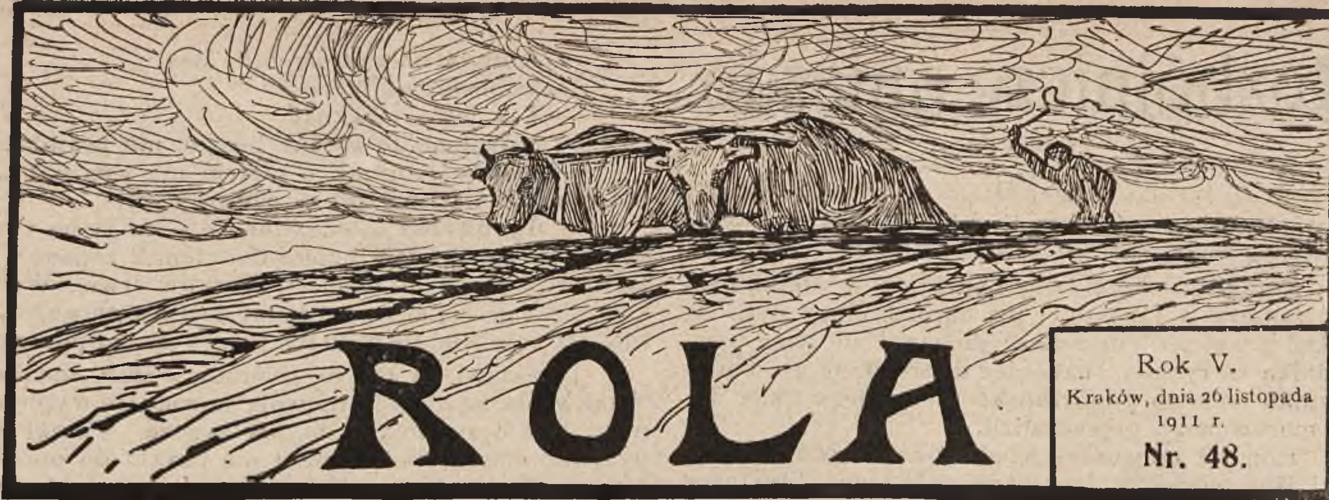


Rok V.
Kraków, dnia 26 listopada 1911 r.
Nr. 48.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Brzytewka.

(W rocznicę powstania listopadowego).

Kiedy po rozbiorach Polski carska ręka zaciężyła nad ziemią naszą, przyszło do upamiętania wśród braci naszych. W tych, którzy kochali Ojczyznę swą całem sercem, zadrgało ono boleśnie, obojętni poczęli inaczej patrzeć na niedolę narodu, a nawet całkiem zimni, poczęli tająć jak lód i rwać się do jej obrony. Ale nie wszyscy. Byli bowiem i tacy, którzy woleli ochłapy i przysmaczki z carskich stołów, aniżeli zdrową a posilną strawę narodową.

Do tych ostatnich jednak nie należał Józef Brzytewka, szewc z dziada pradziada, którzy od wieków mieszkali w Warszawie. Brzytewka, tak jak i jego praojcowie, uczonym nie był, ale ojczyznę kochać umiał i to wiedział, że kiedy przyjdzie potrzeba, to potrafi za nią życie swe ofiarować.

Od lat chłopięcych szył buty, a że na rzemiośle znał się dobrze, więc garnęli się ludzie do niego tak, iż pracy nigdy mu nie brakowało. Polacy chwalili jego robotę, bo szył buty silne i wygodne, ale Moskale za to żalili się na niego, że nigdy do miary nie zrobi i że jego buty zawsze z tej lub owej strony cisną.

Gdy go przyjaciele pytali o powód, dlaczego Polakom robi buty wygodne a Moskalom nie, odpowiadał:

— Gdy przyjdzie co do czego, to niech Moskalowi łapy poodgniata, to nie będzie mógł przed nami uciekać.

Smiali się z niego towarzysze i brali jego gadanie za żart.

Mijał dzień za dniem, rok za rokiem, a Brzytewka nie mógł się doczekać jakiegoś ruchu w Warszawie, aby módz dobitniej swą nienawiść ku Moskalom okazać.

Aż nadszedł wreszcie rok 1830. W Polsce w imieniu cara Mikołaja rządził Wielki Książe Konstanty, który dokazywał, jak mógł i prześladował patryotów. Wojskowym sprzykrzyły się krzywdy i obelgi, jakie znosić musieli, wobec tego w szkole podchorążych zawiązał się spisek przeciwko Moskalom.

Dnia 29 listopada 1830 r., wieczór, wypadli ze swoich koszar zbrojni podchorążowie i jedni uderzyli na Belweder, pałac Wielkiego Księcia, drudzy na koszary, gdzie stały pułki rosyjskie.

Ruch, jaki się wszczął, uderzył Brzytewkę, który, nie namyślając się długo, wybiegł ze swej pracowni, trzymając w jednej ręce but rozpoczęty w drugiej pocięgiel. Stało się to właśnie w chwili, gdy Wielki Książe Konstanty umykał ze swego pałacu przed Polakami.

Zobaczywszy to Brzytewka, radby był roztrzaskać łeb moskiewskiemu księciu. Nie mając jednak żadnej broni przy sobie, zdołał tylko pocięglem kilka razy przeciągnąć go przez plecy. Poskoczył dalej za nim, ale niestety nie mógł dalej pędzić, gdyż któryś z żołdaków moskiewskich zobaczył całe zajście i utopił bagnet w plecach Brzytewki.

Padł dzielny szewc zbroczony krwią na ziemię, a z ust jego wyrwał się okrzyk: »Niech żyje Polska!«

Spostrzegli wkrótce sąsiedzi zranionego Brzytewkę i zabrali go do domu. Kilka dni walczył ze śmiercią, a wśród tych borykań powtarzał ciągle:

— Gdybym Konstantemu ja był robił buty, z pewnościąby w nich był nie zdołał uciec.

Niedługo pochowano Brzytewkę. Polacy, rozpocząwszy powstanie, cudów męztwa dokazywali, póki liczebna przemoc nie zmusiła ich do opuszczenia Warszawy, którą zajął jenerał moskiewski Paszkiewicz. Wojsko polskie pod wodzą jenerała Rybińskiego wyszło z Warszawy i posuwając się ku granicy pruskiej, samo broń złożyło.

Tym sposobem zakończyła się wojna w 1831 r., mająca na celu zrzucenie kajdan niewoli. Historya zapisała setki nazwisk bohaterów, którzy padli w bitwach z wrogami. Ale bohaterów tych było stokroć więcej, a imiona ich, jak imię Józefa Brzytewki, zostały na zawsze zapomniane.

Rozbójnicze gniazdo.

XVII.

Janasz u miecznika. — Zdumienie i radość. — Miecznik nie chce dać okupu. — Śmiały zamiar. — Ucieczka przez okno. — W konie!

Nazajutrz, skoro świt, budzić się w zamku i ruszać zaczęto, a Janaszowi już bardzo pilno było iść szukać i widzieć miecznika; domagał się więc przewodnika co rychlej i nakoniec doprosił, iż go Turek z zamku na owo pogorzelisko do widnego zdala domu murowanego poprowadził.

Tam już od wczoraj wiedziano pewnie o posłach, gdyż izbę więźniów Janaszowi pokazano. Niektórzy z nich w nędznej odzieży zamiatali właśnie przed stajnią, w dziedzińcach i u wrot, ale miecznika między nimi nie było.

Zobaczywszy Janasza, kilku towarzyszów, sądząc, że jeniec nowy przybywa, zbiegło się do niego ciekawie. Wskazano mu na górze izbę miecznika, a Kurczaba, szlachcic, który na nogach miał łańcuszki, a w rękach miotłę, rzekł:

— E! miecznikowi się jeszcze jako tako dzieje, bo się za niego dużo złota spodziewają. Choć krył się z sobą, przewąchali, że to nie taka jak my golizna. Ale go zato nie łatwo puszczą, gdy nas daliby pewnie dwu za jednego konia dobrego.

Janasz z bijącem sercem drzwi otworzył.

W kubraku nędznym, podpasany krajką, w ladajakich chodakach, tyłem do drzwi, siedział na posłaniu z wojłoków miecznik i w okno patrzył smutnie. Chociaż tak okrutnie tą nędzą zmienionego, poznał go Janasz zaraz.

Nierychło zamyślony jeniec głowę odwrócił; spostrzegłszy we drzwiach twarz, której sobie wytłómaczyć nie mógł, a do tego wychudzoną i zmienioną, przestraszony przeżegnał się.

Jak w tęczę patrzył milczący na Korczaka, gdy ten mu się, płacząc, do nóg rzucił. Dopiero ręce do góry podniósłszy, zawołał:

— Janasz! ty! skądżeś się wziął?

— Umyślnie przybyłem, panie, po was, dla waszego uwolnienia.

— Z domu wprost?

— Tak jest.

— Jejmość! Jadzia! mów!

— Wszyscy zdrowi.

— Bogu chwała! — odetchnął miecznik. — Ale ty jak z krzyża zdjęty.

— Chorowałem.

Zamilkli.

— Podróż jak poszła?

— Dobrze, dobrze — zawołał Janasz, nie chcąc opowiadaniem na razie go zatrważać. — Natychmiast po powrocie wysłała mnie pani do obozu, a król jegomość pozwolił tu dojechać. Agę i jego syna i trzydziestu ich przedniejszych zatrzymał dla was, aby ich wymienić.

— Dobry król.

— Jam przywiózł pięć tysięcy dukatów.

— Ha? skąd?

— W Gródku znaleźliśmy skrzynię.

Miecznik się poruszył.

— Ani grosza tym zbójom nie dam. Milcz — i z tem mi się nie odzywaj. Dosyć mię namęczyli, ale ja taki twardszy od nich. Otóż, jak widzisz, nic mi, do ich chleba nawykłem. Apetyt mam, jakiego nigdy nie było, drwię z nich. Puścić mnie muszą, a pieniędzy nie będą widzieli! Nagle, z zamyślenia jakby wychodząc, wtrącił miecznik:

— Kobyła bułana ożrebiła się?

Janasz osłupiał.

— Tak jest — bąknął.

— Mówiłem, że źrebak będzie, nie prawdaż?

Naprawdę Korczak o niczem nie wiedział, ale potwierdził. Uścisnął go za głowę stary.

— Ty myślisz — odezwał się — że ja na twoje przybycie taki dobry humor dobyłem z zapasu? Jako żywo! ciągle go mam i z Turków drwię. Wściekają się a ja się śmieję. Skorzystałem z niewoli tyle, żem się cale nie źle tego ich psiego języka poduczył.

Janaszowi na łzy się zbierało, a stary śmiał się. Wprawdzie na twarzy niewola mocno się wypiętnowała, lecz oczy śmiały się, jak zawsze. Począł rozpytywać o wszystko. Treści nie brakło do opowiania, ale Korczak to tylko mógł mu donieść, coby próżnej z sobą nie przyniosło troski, bałamucił więc i wywijał się różnie, szczególniej o całej podróży na Podole i przygodach doznanych zamilczawszy.

Godziny płynęły niepostrzeżone.

— Panie — odezwał się Janasz — Węgier tam układa się o uwolnienie nasze, ale Turcy się upierają. Ja myśl mam inną. Jeśli przyjmie basza, zostanę za was zakładnikiem; chodzi o to, aby mnie tylko przyjęto.

Miecznik się roześmiał.

— Nie wezmą cię, chudy jesteś — rzekł — a u nich chudy, mężczyzna czy kobieta, nic nie wart. Za młody jesteś, aby cię za mnie pomieniali.

— Toć jeśli o niewolnika do pracy idzie, młodszy lepszy.

— Im nie o pracę chodzi, ale o pieniądze. Nie! nie! — rzekł miecznik. — My tu może, jeśli Węgier nic nie poradzi, co innego poczniemy. Masz pieniądze?

— Sumę całą w królewskiem zostawiłem ręku, bo niebezpiecznie było brać ją ze sobą a w kieszeni około stu czerwonych złotych się znajdzie.

To mówiąc, sakiewkę dobył Janasz i położył ją na stole.

Miecznik popatrzył na nią i schował.

— Chodźmy na podwórze, bo ja się tu mówić lękam — szepnął.

Zeszli tedy po schodach na brukowany dziedziniec, po którym sami się przechadzać zaczęli.

Miecznik pokazał drzwi do loszku.

— Zajrzyjno, z pozwoleniem nierogaciznybym w nim nie zamknął, a oni nas tam na noc i to jeszcze okutych lub w dybach zapierają. A wiesz? czasem się tak śpi, że nie można lepiej. Człowiek do wszystkiego przywyknąć może. Kazali mi z początku konie czyścić, ale zaraz się spostrzegli, że to nie moja rzecz i dali pokój. Z miotłą jeszcze jako tako. Mamy tu — szepnął wreszcie — wcale niezłego człowieka dozorcę. Słowak jest sturczony i kupić go można a drapnąć. Bardzo mi się chce im tego figla zrobić.

— Ale kiedy i tak wolnym być można? pocóż się podawać w niebezpieczeństwo? — rzekł Janasz — Węgier się układa, a dwóch agów...

Miecznik głową potrząsnął.

— Zobaczymy — zakończył. — Już mi wreszcie ta niewola dojadła — stęskniłem się do domu: dosyć tego!

Około południa nadszedł Węgier, ale z twarzą posępną.

— A co? — zapytał miecznik.

— Chcą okupu, nie zamiany — odezwał się poseł.

— Dyabła zjedzą! grosza nie dam! — zawołał miecznik.

— Ja bez pana miecznika nie pojadę — stanowczo rzekł Janasz.

Zboiński mu w oczy spojrzał.

— To oni cię wypędzą, a nie, to w niewolę zapiszą — roześmiał się miecznik.

— Cóż będzie? — zapytał Węgier.

— Powiedz baszy, że ja jestem goły, pieniędzy nie mam, a król takich sług jak ja, na seciny liczy; gdyby ich miał tysiącami opłacać, nie stałoby mu na koszulę. Jak sobie chce. Turcy pójdą w Żółkwi wały sypać, a ja będę tu podwórze zamiatał.

Gdy wieczór nadszedł, miecznik poszedł o coś z nadzorcą się układać. Szeptali długo. Korczak miał czas przypatrzyć się człowiekowi, a ów zturczony Słowak przykre i wstrętliwe na nim uczynił wrażenie. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, żółty, twarzy pociągłej, nosa wielkiego, małych oczu czarnych a bystrych, ruchów niespokojnych. Fałsz mu patrzył z całej twarzy.

— Wyrobiłem u dozorcy — odezwał się miecznik — że nam obu na dzisiejszą noc da osobną izbę i od łańcuszków na rękach mnie uwolni. Przegadamy z sobą te godziny, bo jest jeszcze i o co pytać i co opowiadać.

Spojrzał z ukosa na Janasza jakoś znacząco. — Z oczu mógł się domyślać, że na wszystko ważyć się będzie.

— Co u licha — szepnął — żeby też Pacuk miał być rozumniejszy i szczęśliwszy nademnie? a toć jużby się wstydzić trzeba!

Weszli razem do izby.

— Słuchaj Janasz! to bydło śpi jak zabite, koło domu zewnątrz żadnej straży niema, żebyśmy też uciekli? To dopiero im psikusa wyprawimy! Ani agi, ani pieniędzy...

— Na miłość bożą! — zawołał Janasz — panie mój! niebezpieczeństwo! mogą nas schwytać, mogą...

— Wszystko mogą, strzelić i zabić — odparł miecznik — ale dlatego ważyć się trzeba i szczęścia spróbować! Mogłem od lada kiepskiej kuli zginąć na wojnie.

Próżne były prośby Janasza i uwagi; miecznik stał przy swojem. Węgrowi dano znać z wieczoru, aby sobie, jeśli chce, powracał, choćby natychmiast. Zresztą, przyznać należy, iż o niego wcale się miecznik nie troszczył.

— Gdyby posiedział tu na mojem miejscu jaki ruski miesiąc, toć go licho nie weźmie. Łatwiej go uwolnią niżeli mnie.

Zamknęli się na noc w izbie im przeznaczonej. Słowak przyniósł im lampkę, gotowanego mięsa trochę, suchego chleba i wody. Miecznik się wziął wesoło do tej wieczerzy.

— W Mierzejewicach — odezwał się — bywały lepsze wieczerze: krupniczek z półgęskiem, palce oblizywać! kasza ze słoninką, zrazy! Tu jakieś dają ochłapy, Bóg raczy wiedzieć z czego i z kogo, zamiast węgrzyna wodę, chleb spleśniały, a smakuje to jak specyały. Co to za mistrze: nędza i głód!

Janasz niespokojny nie jadł nic i milczał. Miecznik palcami sobie do tej wieczerzy posłużywszy, obmył ręce i zaczął myśleć o ubiorze i ucieczce.

Noc ciemna była bardzo i dosyć wietrzna. Wydawało się to przyjaznem dla ucieczki. Wicher stukał w okna i okiennice, że mało co oprócz tego świstu i szumu słyszeć było można. Z północy miecznik, jakie tylko miał odzienie, włożył na siebie; Janasz mu chciał na ramiona swój płaszcz rzucić, ale tego nie przyjął, pod pozorem, żeby mu zawadzał. Z pokrajanego w pasy kobierca skręcono sznur, którego niewiele było potrzeba, aby ziemi dosięgnąć.

— Dobyć się stąd — rzekł miecznik — nie jest żadną sztuką, to dopiero mniejsza połowa roboty; ale koni dostać i uciec, w tem gra!

Janasz mu się raz jeszcze do nóg rzucił, błagając, aby myśl tę odepchnął; uściskał go, zmilczał, ale dalej swoje robił.

— Naprzód się nie wyrywaj, idź za mną i bądź posłuszny, nie wymagam więcej. Głowy nie trać. Milczeć.

To mówiąc, przeżegnał się stary, okno otworzył, sznur powoli dla próby spuścił, ręce poowijał i nim Janasz ostatnim wysiłkiem potrafił go pochwycić, był już na oknie i na sznurze. Pozostawało tylko jedno Korczakowi: iść za nim. Nie miał czasu rąk obwarować, zsunął się więc, odarłszy je ze skóry, czego na razie nie poczuł.

Miecznik stał już na dole na gruzowisku w ciemnościach i prowadził. Przy domu była sklecona na prędce szopa, w której stały konie agi. Do tej dostać się z zewnątrz nie było można inaczej, tylko wyrywając deski, które ścianę stanowiły. Wziął się do tego miecznik dzielnie, a Janasz jął mu pomagać szybko, bo już ważąc się raz, trzeba było doprowadzić zamiar do skutku.

Licha budowa niewielki stawiła opór. Miecznik dostał się do stajni bez wielkiej trudności i pochwycił jednego z koni, którego podał Janaszowi, sam na drugiego skoczył w szopie i wyjechał z niej prędzej, niż się spodziewać było można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Żałoba jesienna.

Gdziekolwiek się zwrócę, ruszę,
Głuche dla mnie wszystkie strony,
Wraz z przyrodą smucę duszę...
Żal w mem sercu załzawiony...

Pójdę w pole, tam na błonie,
Wiatr mię groźny, smutny wita,
Słońce z góry chłodno płonie,
Żal i smutek duszę chwyta.

Patrzę, w górny błękit nieba
Choryzont smutny, ponury;
Gdzie się zwrócę, tęsknić trzeba —
Sposępniały lasy, góry.

Pójdę w lasy do przyrody —
Tylko sosna szumem śpiewa,
Obnażony jesion młody,
Brzoza łzy ku mnie wylewa!

A ja stoję, patrzę na to...
O miła wiosno! przeszłości!
O me skwarne, żniwne lato!
Za tobą marzę w tęskności...

Za tobą błękitny kwiecie,
Za tobą ptaszku skrzydlaty!...
Coraz smutniej tu na świecie,
Naturo! smutne twe szaty!...

Już nie siędę w cieniu drzewa,
Gdzie słowiczek mile śpiewał;
Niema dla mnie w gaju — krzewa
Wiatr z niego liście pozwiewał.

Bydło wraca do zagrody,
Ptaszki hen — gdzieś uciekają,
Coraz to mniej już pogody,
Przymrozki zimne trzymają.

Władysław Kwolek.

Karciarstwo.

(Wrażenia z podróży Księdza-Misyonarza).

W czasie mej podróży widziałem w Niemczech i innych Polaków, inaczej się bawiących. Wspomniałem już o pijaństwie, które u nas bywa główną osią każdej uroczystości. W wielu jednak miejscach w Niemczech pośród naszych ludzi zauważyłem prócz tego jednę jeszcze, bardzo niebezpieczną zabawę t. j. karciarstwo. Raz wieczorem, w przydrożnej przykopie, zauważyłem siedzących trzech młodych parobczaków. Podszedłem bliżej i zobaczyłem karty w ich ręku. Na pierwszy rzut oka poznałem w nich rodaków. Pozdrowiłem ich więc bożem słowem i przysiadłem obok. Grali »w durnia«. Nic w tem zdrożnego. Zwykła zbawka, a nawet dla takich niedorostków już ze samej nazwy bardzo stosowna. Kiedy jednak wdałem się z nimi w pogwarkę, dowiedziałem się rzeczy strasznych. Oto jeden z nich, dwudziestoletni, pełen nadziei młodzian, przegrał niedawno do jednego Niemca 110 marek! Wszystko co przy ciężkiej pracy uciułał, poszło za jeden wieczór na marne! Inni też grywali w pieniądze, przegrywali, ale się czasem i »odbili«. Żaden z nich jednak nie miał ani grosza uskładanego. Bo jak wygrał, to musiał potem »fundować«. To jest już przecież zbrodnia, na samym sobie dokonana! Zabolałem bardzo nad tymi nieszczęśnikami, tem więcej, że to byli moi krajanie od Kielc, a tam nędza panuje pośród narodu. I taki głupiec jedzie na kraj świata, ciężko grzbietu do ziemi przygina, by tam grosz jaki zdobyć i naraz, co zarobi, przegra. A widziałem później z boleścią więcej takich okazów.



Ksiądz Władysław Staich.

Powiadają, że się nasze społeczeństwo »demokratyzuje« coraz więcej. Nieprawda! Nasze społeczeństwo się dziś przeciwnie »arystokratyzuje«. Chłop i robotnik przejmuje zgubne obyczaje wielkich panów. W pana się bawi i setki już w karty przegrywa. U nas w kraju to nie nowina. Ta karciana choroba coraz większe warstwy narodu przejmuje. Wszak dziś jedyną zabawą świata urzędniczego i mieszczańskiego to, obok knajpy, zielony stoliczek. Zgrywają się ludzie i marnieją potem z całemi rodzinami. Po wsiach to samo się zaczyna! Dokąd nas to zawiedzie?

Kiedy Matejko wymalował obraz: »Rejtana« i wysłał go na wystawę do Paryża, Francuzi, nie rozumiejąc jego treści, wskazywali na zbolałą postać Rejtana i mówili: »Zgrał się w karty«. Mieli w tem dużo słuszności. Tylko że nie Rejtan, ale naród cały zgrał się w karty, owi ludzie, którzy obcym mocarstwom siebie i ojczyznę zaprzedawali za pieniądze na karty, i Polskę — przegrali. A dziś nawpół pijane głosy śpiewają przy zielonych stolikach »Jeszcze Polska nie zginęła!« Każdy zaś z graczy ma się za najlepszego patryotę. Straszne urągowisko! A niewielu dzisiaj Rejtanów się znajdzie, coby to urągowisko odczuło i owym zdrajcom prawdą bluznęło w oczy! Biedni my jesteśmy, a biedę sami sobie gotujemy, wręcz się okłamując.

Temi przykremi wrażeniami przygnębiony opuściłem altenburgską parafię. Przejechałem potem stąd całą Turyngię. Wszędzie zaś odnajdywałem naszych. Zresztą znaleźć ich nie trudno. Gdy spotkasz na drodze człowieka wynędzniałego, odzianego licho, to z pewnością twój rodak. A od jednego z łatwością dowiesz się o innych.

Kresem mej podróży był Wartburg. Jest to stare zamczysko, wzniesione na wysokiej górze, pośród sławnego turyngskiego lasu. Zamczysko to zwiedzają liczne bardzo wycieczki, zwłaszcza protestanckie. Tu bowiem ścigany Luter znalazł schronienie; tu też tłumaczył na swój sposób biblię. Zachowano też po nim wiele pamiątek. To też luteranie w pobożnem swem przeświadczeniu kwapią się tłumnie w pielgrzymce na Wartburg.

Podążają tam i katolicy. Wartburg bowiem, to miejsce pobytu św. Elżbiety. Jako czteroletnia dziewczynka przybyła tu z ojczystych Węgier, jako przyszła małżonka Ludwika, landgrafa heskiego i turyngskiego. Tu się wychowała, tu świątobliwie żyła, cuda działała. Niemcy uszanowali pamiątki po świętej. Komnatę jej cesarz niemiecki własnym kosztem przyozdobił w szklaną mozajkę. Ściany korytarzy pomalowano obrazami z jej życia. Wszystkiego, jak widać, Niemcy szanują. Dziwne jednak robi wrażenie to prawdziwie święte miejsce, w gnieździe odszczepieństwa. Chlubią się niem jednak Niemcy katoliccy. Z dumą pokazywał mi to miejsce czcigodny ksiądz Kruse. Oświadczyłem mu swoje uznanie, nawet zachwyt, ale zauważyłem równocześnie, że tu za daleko jechać trzeba, by coś podobnego obaczyć. U nas, w Polsce, takich miejsc uświęconych dużo wszędzie napotkasz. Zaprosiłem go do Krakowa. Gdy przyjedzie, to znowu ja z dumą pokażę mu Wawel i kościół Maryacki i wszystkie krakowskie świątynie, Kalwaryę i Tatry i nasze kurne chaty, wszystko, naszą dawną chwałę i dzisiejszą niedolę.

Ks Władysław Staich.

Przed św. Andrzejem.

Na kominie ogień płonie,
Lecą iskry z drzew,
Załamały siostry dłonie,
Nucą tęskny śpiew.

Białe woski przelewają,
Przyszłość wiedzieć chcą;
Gdzie ich bracia przebywają,
Czy bezpieczni są?

Bo przed rokiem na wojaczkę
Wyruszyli już;
Na wojaczkę, na tułaczkę
Wśród borów i wzgórz.

Za Ojczyznę życie niosą,
Toczą krwawy bój:
Świszczą kule — dzwoni kosą
Bohaterów rój.

Z drzew już liście pospadały,
Nie wracają, nie...
Rok jak siostry przebolały.
Ach! Nieszczęsne dnie!

Z białych wosków wróżą sobie...
...Straszny powstał jęk...
Bo na wosku krzyż na grobie —
— Serca zmroził lęk.

Każda z nich zdrętwiała stoi,
Jakby runął grom...
Och! Nie wrócą bracia moi
Do ojczystych stron!

*

Dwie mogiły sterczą sobie
Pośród obcych pól,
A w Ojczyźnie siostry obie
Złamał żal i ból...

Józef Jarmuła.

FEZ, STOLICA MAROKKA.



Pisaliśmy już niejednokrotnie w »Roli« o zatargu Francyi z Niemcami o Marokko, kraj położony nad morzem Śródziemnem, w północnej Afryce. Dziś, podając widok ogólny stolicy Marokka, miasta Fezu, z powodu ugody jaka nastąpiła pomiędzy temi państwami, pożądaną rzeczą będzie przypomnienie o tym kraju.

Kraj ten w dawnej przeszłości był własnością Rzymian. W piątym wieku po Narodzeniu Chrystusa wybił się z pod ich panowania, ale w 200 lat potem stał się łupem Arabów. Pod ich władzą kraj ten zakwitł niepospolicie i urósł w potęgę.

Ale państwo to wnet zaczęło się chylić do upadku, tak, że w 1844 r. Francya natarła zbrojnie na Marokko. Długo trwała zwada tak, że doszło nawet do bombardowania przez statki francuskie wybrzeży marokkańskich. Na kraj ten miała też ochotę i Hiszpania, ale Francya, usadowiwszy się tam raz, nie ustępowała, aż doszło do ugody w Algeziras, mocą której nie wolno żadnemo mocarstwu naruszyć niepodległości Marokka. Niemcy z ugody tej nie były zadowolone i szukały sposobów, aby na równi z Francyą wywierać swój wpływ w Marokku. Narazie to się im nie udało. Pytanie jednak czy w przyszłości znów się nie pokuszą o usadowienie się w tym kraju i czy kiedyś nie przyjdzie o niego do zbrojnego zatargu z Francyą.

Samo miasto Fez, jak to widzimy na powyższym obrazku, całym wyglądem różni się wielce od miast europejskich. Cechują go płaskie, wschodnie dachy, których w naszych miastach nie spotykamy. Również drzewa widne tu i ówdzie są zupełnie inne, niżeli nasze polskie.

Poza miastem widać namioty, zapewne jakiej karawany, przybyłej z dalszych okolic.

Widok Fezu podobnym jest do widoków miast trypolitańskich, jak Trypolis, Benghazi, Derna i inne, które są obecnie widownią wojny.

Gawędy o Różnych Sprawach.

BIEDA.

Wszędzie ludzie narzekają na ciężkie czasy. — Z tego jednak nie wynika, że one naprawdę wszędzie są ciężkie. N. p. obecnie słyszy się ciągłe utyskiwania na drożyznę, tak jakby ona po raz pierwszy przyszła na świat. A przecież wiadomo, że drożyzna istnieje od Adama i Ewy. Młodzi niech się zapytają starych, jak to za ich czasów wszystko było o wiele tańsze, a ci starzy, gdyby mieli żyjących dziadów i pradziadów itd., dowiedzieliby się od nich, że im dalej wstecz, tem mniej potrzeba było pieniędzy, aż nareszcie usłyszeliby, że np. przed 1000 lat wół kosztował 20 razy mniej, niż dzisiaj. Z tego jednak nie wynika, żeby się wtedy ludzie 20 razy lepiej mieli, owszem wszystko przemawia za tem, że się mieli o wiele gorzej. Nie było takich wspaniałych miast i wygodnych, ciepłych domów, okrywali się źle, (koszul zupełnie nie znali), gdy na kiepsko uprawioną ziemię przyszedł nieurodzaj lub zaraza, to całemi gromadami wymierali z głodu i choroby. A w dzisiejszych czasach czy kto kiedy słyszał, żeby nawet w tak biednym kraju jak nasz, panował jaki pomór? Oświata i dobry zarząd kraju są wrogami biedy.

A co to jest bieda? Nie tak łatwo na to odpowiedzieć, jakby się zdawało.

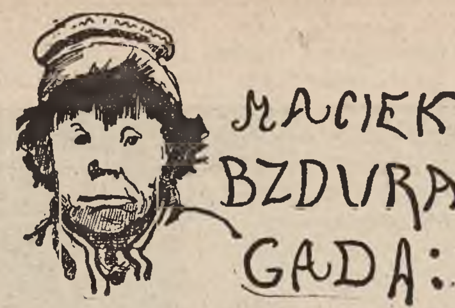
Włościanin nasz narzeka na biedę, bo podatki wielkie; że musi ciężko pracować na skromny kawałek chleba itd. A są na świecie tak biedne ludy, które uważałyby się za szczęśliwe, gdyby się miały tak, jak nasz włościanin. Mieszkając w wilgotnych jaskiniach, odżywiają się tak nędznie, że włościanin nasz umarłby z takiego jadła. W naszym kraju jest znaczna różnica między biedą np. górala lub Rusina, mieszkającego razem z krową, a biedą wieśniaka z pod Krakowa lub wogóle z zachodniej Galicyi.

A gdy w obecnej drożyźnie nasz włościanin i robotnik wymyśla biedzie, że nie ma czem chudoby wyżywić lub że musi wędrować za granicę, aby pod batem największego swego wroga ciężko zapracować na nędzne życie, to równocześnie włościanin i robotnik francuski wymyśla biedzie tylko z tego powodu, że nie może tyle odkładać do kasy na zakupno n. p. akcyi kolejowych, aby mieć z nich dochód na spokojną starość; bo chleba, mimo drożyzny nie pragnie, ziemię ma urodzajną, przytem uprawia ją znakomicie, tak że daje mu kilka razy większy dochód, niż wieśniakowi naszemu.

Tak więc biedę ocenia się właściwie według tego, do czego się kto przyzwyczaił a czego nie może zaspokoić. Kiedy wieśniak francuski już będzie krzyczał na biedę, to nasz wieśniak, przyzwyczajony do skromniejszych potrzeb, będzie jeszcze zadowolony, gdy będzie miał to, co francuski; tak samo jest różnica między narzekaniem na biedę czeladnika lub robotnika miejskiego a narzekaniem majstra.

Mimo to nie można powiedzieć, żeby odczuwanie biedy robotnika było zawsze większe niż majstra lub urzędnika, który zarabia kilkanaście lub kilkadziesiąt reńskich więcej, bo majster lub urzędnik mają nieraz potrzeby, których robotnik nie ma. N. p. wypada, żeby urzędnik był lepiej ubrany, aby się z niego nie śmiano, żeby miał obszerniejsze mieszkanie, a nawet są tacy ludzie, co wolą gorzej jeść a lepiej mieszkać i ubrać się. Trzeba powiedzieć, że prawdziwa bieda jest tam, gdzie niema co jeść; odkąd człowiek ma czem głód zaspokoić, najgorsza nędza znika i rozpoczyna się dobrobyt.

Jak należy do dobrobytu dążyć, opowiemy innym razem. ***Dr. W. Stawowczyk.***



Ja zawse chwaliłem mojego gospodarza, a oni tymcasem huzia na mnie. Milckiem a grzecnie ze mną, wyśtyflowali list do gazeciarzy ze skargą na mnie. Zebyście nie myśleli, ze cyganie, to Wam ten list posyłam a cyta się tak:

Szanowna Redakcyo i Kochani Cytelnicy „Roli!"

Pirsy raz odzywom się w „Roli", bo też i nimiołem o cym pisać, bo mom w swej chałpie, co za mnie może więcy, jak trza, plecie; — a jest to Maciek Bzdura. Kochani Czytelnicy znają go dobrze, ale nie lepi odemnie. To ja wam tu ze trzy słowa o tem napisę. Naprzód powiem Wam, kto on jest; choć som tego nie wiem, ale wiem, że jest to mój parobek.

Otóż ten mój parobek Maciek godo wciąż w nasy gazycie „Roli" różne rzecy. Jak to nieraz cytacie, podaje on się za mondrego i uconego człowieka a tu tymcasym on taki bzdury jak Maciek Bzdura nie umi napisać. Tak samo ma się rzec i ze wszystką robotą gospodarską, do który on ta nie bardzo skory. Przódy, jak ta jesce ty „Roli" nie było, to było z nim pół bidy, bo nimiał o cym tak myśleć, to myślał o robocie. Az tu coś ze trzy roki zobocyłem gdzieś „Rolę" i zaraz zaprenumerowałem i potem cytałem wciąż w domu cego i „Maciek" słuchał.

Słucha raz i drugi, co rozmaite ludzie w „Roli" pisą i jak zacon myśleć, toście już za trzy miesiące w „Roli" jego gadanie cytali Co wymyślał, to posed do mego sąsiada Grzeli i tam mu Wikta to gadanie napisała i posłała do „Roli", gdzie je wydrukowali.

Od tamtego casu juz dwa roki on ciągle w „Roli" gada. Ale pomyślcie se Kochani Cytelnicy, co ja mom za pozytek z takiego parobka, co on cały tydzień jeno myśli, coby w niedziele w „Roli" nagadać, a więcy to nic nie robi, a jeść i zapłatę trza mu dać tak, jak i insemu parobkowi za robotę. Ale jesce nie na tem koniec, ze on myśli, coby gadać, ale niech się bodaj co w chałpie stanie, to prawda, cy nie prawda, zaraz w „Roli" wypisuje. Z tego jego gadania to wy więcy nic nie macie jeno chyba kupę śmiechu. Za to go lubicie i tak do niego pisecie, jak do jakiego prefesura.

A teraz wom powiem, na co ja to wszystko tu piszę. Naprzód spytom się Was, Kochani Cytelnicy, cybyście chcieli mieć takiego parobka, co nic nie robi, a jesce Wam rozkazuje płacić mu i dawać jeść, dawać pieniondze na papiry, zeby swoje gadanie pisał i płacić liściarzowi za te listy, co wciąż do niego przychodzą. Otóż ja, nie mając z niego pożytku jeszcze stratę, tak umyśliłem zrobić: Kiedy go tak wszyscy Cytelnicy lubicie, to se go weźcie, bo ja mu od godów służbę wypowiadam. Jak chcecie dali jego gadania słuchać, to se go musicie wziąść, żeby Wam do Prus nie uciek i dać mu na pańskie życie piniendzy. Ja to jemu i Wam zawczasu mówię, ze go trzymał nie bedę. Róbcie se, co kcecie. Szanowną Redakcyę prosę wydrukować to w „Roli" a cytelników prose uważnie przecytać.

Macków Gazda.

Taki to bezecny list dostałem, bo mi go odesłali gazyciarze. A bodaj Was! taki wyście gospodarzu? Ja was zawse miał za ućciwego cłeka, a wyście pewnie za rynecką jajeśnicy wzięli stronę gospodyni i takie grypsanie wycynili. Ale ja Wam odpowiem na drugą niedzielę, jaz Wam w pięty pójdzie.

Przymusowe wróżbiarstwo.

(Humoreska).

W pewnym dworze zginął pani hrabinie pierścień wielkiej wartości. Po bezowocnem poszukiwaniu hrabia ogłosił, że kto potrafi wywróżyć, gdzie się pierścień znajduje, ten dostanie dobre wynagrodzenie. Jeżeli zaś tego nie uczyni, dostanie pięćdziesiąt batów.

Na taką obietnicę nikt się długo nie chciał zgodzić. Aż znalazł się biedny chłopina, nazwiskiem Świerczek, który sobie myśli:

— Wszystko mi jedno, choć by mię i zabili, to sobie chociaż przez trzy dni pojem do sytości a potem dziej się wola Boża.



Jakoż w istocie pan go przyjął i dał mu do obsługi lokaja, osobny pokój i jadło wspaniałe. Po pierwszym dniu, gdy lokaj ze stołu sprzątał po kolacyi, wróżbita mówi niby do siebie:

— Panie, dziękuję Ci, przeszedł jeden dzień. Na złodzieju czapka gore.

W drugim dniu zaś po kolacyi, gdy sprzątał lokaj po kolacyi, rzekł:

— Panie, dziękuję Ci, przeszedł dzień drugi, ale biada złodziejowi, lepiej, żeby się tu był nie dostał.

W trzecim dniu przychodzi do niego ten sam lokaj, co mu usługiwał i pada na kolana, prosi i błaga, żeby go nie wydawał przed panem i przyznaje się, że on ten pierścień ukradł.

— Ja to zaraz o tem wiedziałem — mówi wróżbita — masz wielkie szczęście, żeś się przyznał.

Rzekłszy to, kazał mu przynieść pierścień, oblepił go ciastem i wepchał do gardła największemu indykowi. Skoro nadszedł oznaczony czas, pan pyta się, kto ukradł pierścień. Wróżbita wskazał na indora, którego zabito i pierścień w nim znaleziono.

Pan się ogromnie ucieszył, ale chciał się raz jeszcze przekonać, czyli on też jest prawdziwym wróżem. Kazał więc złapać świerszcza, puścić go na talerz a drugim talerzem przykryć. Skoro wróżbita przyszedł do pokoju, pan mówi mu:

— Dobrze, mój kochany, dobry z ciebie wróż, ale poddam cię jeszcze jednej próbie. Powiedz mi, co się pod tym talerzem znajduje?

Na takie pytanie wróż zgłupiał, bo, naturalnie, skąd mógł o tem wiedzieć. Mówi więc sam do siebie:

— No, mój Świerszczu, dostali cię w dobrą pułapkę!

Usłyszawszy to pan, zawołał:

— Bracie kochany, wróżbito jedyny, jesteś nieocenionym człowiekiem — i podał rękę zdumionemu chłopu.

Karol Powroźniak.

Dobry syn.

(Opowiadanie z życia ludu).

Dzień był mglisty, jesienny. Ptaszęta nie rozweselały już swym śpiewem zamarłej natury, lecz wiatr nielitościwy dmuchał wśród miast i siół. W jednej z wiosek podgórskich, w niskiej zapadłej chatce dziś smutek wielki. W chatce mieszkała biedna wdowa Anna ze synkiem Karolkiem. Dziś Anna leży na śmiertelnem łożu, obok którego klęczy, ze łzami w oczach, Karolek. Koło łóżka Anny zgromadziło się mnóstwo sąsiadek i przyjaciółek. Pocieszały cierpiącą kobietę i rokowały jej dobrą nadzieję; chora Anna natomiast szeptała od czasu do czasu:

— O Jezu! o Matko Boska! och, już, już! Karolku, synu mój!

Karolek, podniósłszy oczy nawpół z płaczem, odezwał się:

— Co, droga mamo, czego sobie życzysz? —

— Synu mój! — ciągła chora słabym głosem — oto ja już opuszczę ten padoł ziemski a ty, Karolku, zostaniesz sierotą, otóż, drogi synu, nie smuć się i nie frasuj, bo choć ja, matka ziemska, cię opuszczę, to jednak pozostaje ci Matka Niebieska, stokroć lepsza od wszystkich matek; a ta Matka Niebieska, której medalik z taką czcią nosisz, i Różaniec święty tak pobożnie odmawiasz, ta Królowa nasza, Ona się tobą będzie opiekować i wesprze cię w każdej potrzebie, jeżeli tylko pozostaniesz Jej wiernym synem. Przyrzeknij mi, drogi Karolku, że póki życia twojego nie zaniedbasz odprawiać Różańca świętego.

Po tych słowach opadła jej głowa bezwładnie i zasnęła na wieki.

W trzy dni później wracał Karol smutny z pogrzebu swej matki. Sąsiad Grzegorz zajął się sierotą, oddając go do stolarza w najbliższem miasteczku. Majster był człowiekiem dobrym i przystępnym, przeto wkrótce zjednał sobie serce Karolka. Ten ostatni robił znaczne postępy w nauce rzemiosła i rokował w oczach majstra najlepsze nadzieje w przyszłości. Po trzech latach terminu pojechał za granicę do Czech, do miasta Pragi. Tam wydoskonalił się znacznie w swym zawodzie stolarskim. Nie brakło tam i złych towarzyszy, którzy starali się skierować Karola na złe drogi, ale on zawsze unikał takowych. Raz jednak był zmuszony przebywać w ich gronie. Więc dwóch z nich namawiało Karola do pewnej kradzieży z włamaniem. Wtedy Karol, wydobywszy z kieszeni Różaniec święty, który zawsze przy sobie nosił, w te słowa się odezwał:

— Jakżeż to, koledzy, czyż ja, noszący to znamię Najświętszej Maryi Panny, czyż ja miałbym teraz zasmucić Jej macierzyńskie serce, kalając się występkiem? Na pamięć umierającej matki i na widok tych paciorków świętych nigdy tego nie uczynię.

Słysząc te uroczyste słowa, towarzysze zamyślili się głęboko, a odchodząc zawstydzeni, zaniechali wykonania złego planu. Karol, kierując się zawsze uczciwością i wszelkiemi cnotami, wyszedł na porządnego człowieka. Ożeniwszy się później z dość zamożną dziewczyną, prowadził pożycie małżeńskie godne naśladowania. Pan Bóg obdarzył Karolów trzema synami, których wychowywali bogobojnie i w zaraniu życia przyzwyczajali ich do wszelkich cnót a wręczając każdemu z nich Różaniec, tak mawiali:

— Dzieci kochane! czcijcie zawsze tym Różańcem Najświętszą Pannę a ona wam przyszłość uczyni znośną i osłodzi wam wszelkie cierpienia, które będziecie przechodzili w późniejszem życiu. Nad pracownią Karola znajdował się zawsze obraz Najśw. Maryi Panny, pod którym było wypisane:

Szczęśliwi, którzy młodości swej lata
Sycili, Maryo, Twem świętem Imieniem,
Ci, chociaż później rzucą się w wir świata,
Nie złamią serca pod pokus brzemieniem!

Walenty Pasierb.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

OPOWIADANIE CZWARTE.

Opowiada w dalszym ciągu pan Kazimierz Kosa.

I.

Kilka dni z rzędu, które przeszły po wysłaniu ajenta w okolice Grzymały, przepędziłem w straszliwem usposobieniu umysłu, targany raz bezgraniczną rozpaczą, to znów nadzieją. Nigdzie nie wychodziłem, gdyż właśnie w tym czasie ogłoszono w dziennikach rozporządzenie ministra wojny, udzielające mi dymisyę, a choć w rozkazie tym, dzięki szlachetności mego rotmistrza, nie wymienione były wcale przyczyny, dla których uwalniano mnie z wojska, przecież zdawało mi się, że wszyscy wiedzą o ciążącem na mnie oskarżeniu, że wszyscy czytają na mem czole okropną hańbę moją!

Dlatego też unikałem ludzi i zamknięty w swej izdebce, siedziałem samotny, pogrążony w mych czarnych myślach, trawiąc się powoli smutkiem. Rozbierając po szczególe każdy krok mego postępowania w Grzymale, szereg dziwnych okoliczności, które w najlepiej usposobionym dla mnie człowieku mogły i mogą wzbudzić podejrzenia, oraz zastanawiając się nad obecnem swem położeniem, niekiedy traciłem zupełnie nadzieję, widząc swą bezsilność wobec straszliwego przeznaczenia.

A kiedym sobie jeszcze pomyślał o mej świętej matce, która we mnie miała jedyną swoją podporę, jedyną dumę i pociechę w swej starości, wówczas ogarniała mię taka rozpacz, że kiedy sobie dziś jeszcze wspomnę o tem, po tylu latach, dziś jeszcze czuję, że mi pot kroplisty spływa po czole.

Nakoniec — bo trzeba wszystko wypowiedzieć z głębi serca — kiedy niekiedy podnosił się krzyk miłości, przed oczyma stawał mi jej obraz, jak biała, oblana srebrnem światłem księżyca, pełna smutku i zadumy, stała wsparta na kamiennym wazonie. — I kiedym pojrzał po całej mej przeszłości i najmniejszy jej zakątek ujrzał bez nadziei, kiedym widział, że ta moja miłość, pierwsza i ostatnia w mem życiu, ma być całopaleniem na ołtarzu mego przeznaczenia, wówczas mówiłem:

— Nie! dość tego! trzeba to wszystko skończyć raz. Co mi po takiem życiu!

Małoduszność ta jednak zwykle krótko trwała. Energia młodzieńcza budziła się we mnie i postanowiłem wówczas dopiero upaść, kiedy już wszystkie środki obrony i walki wyczerpię.

W takim to stanie umysłu, wśród takich wewnętrznych utrapień i zgryzot, otrzymałem pewnego dnia dwa listy, na których pieczęcie pocztowe wskazywały, że pochodzą z Grzymały. Jakoż z adresów poznałem, że jeden z tych listów pochodził od Maryni, a drugi od mego ajenta. Przedewszystkiem otworzyłem list Maryni i wieści w nim zawarte wzburzyły mię do głębi.

Zacna ta osoba donosiła mi naprzód, że wkrótce prześle mi szczegółowy raport o ważnych wypadkach, jakie zaszły od czasu mego wyjazdu w Grzymale, oraz zawiadamia mię, że markiz wyjechał do Warszawy z celem udania się do Ameryki, nakoniec wzywała mię, ażebym, korzystając z tego położenia, przytrzymał łotra i starał się wydobyć z niego zeznania, potrzebne do pomszczenia mego honoru.

Przez chwilę cieszyłem się tą wiadomością.

— Bóg mi go oddał w ręce! — zawołałem.

Ale po zastanowieniu się przyszedłem do przekonania, że rzeczy nie stoją tak dobrze, jak mi się zdawało. Albowiem, jeśli nie zdołam przytrzymać markiza i wydobyć z niego potrzebnych mi zeznań, wówczas wraz z jego wyjazdem do Ameryki wszystko przepadło. Honor więc, życie moje, przyszłość i wszystko co mi było najdroższego, wisiało teraz na włosku.

Wreszcie nie miałem żadnej pewności, że markiz nie namyśli się inaczej i wprost z Grzymały nie puści się do Ameryki. Na myśl tę włosy mi na głowie powstawały. Począłem teraz żałować, żem opuścił Grzymałę, nie przyparłszy tego łotra do muru i nie zmusiwszy go pod groźbą śmierci do wyznania prawdy. Stało się jednak! Nie było już o czem myśleć.

Drugi list, od mego ajenta, donosił mi, że pomimo najusilniejszych poszukiwań nie można było dowiedzieć się, czy Jeniczanek i markiz zamieszkały w Grzymale, są jedną i tą samą osobą. Że od czasu przeszłorocznej wojny wszystkie prawie osoby, które mogły znać owego Jeniczanka, opuściły tamtejszą okolicę; że jednak ajent dowiedział się, iż bogaty żyd stopnicki, nazwiskiem Szmul Rabinowicz, trudnił się w zeszłym roku dostawami dla armii austryackiej, że zatem już przez to samo musiał znać dobrze jej głównego intendenta Jeniczanka; że nakoniec żyd ten może najlepszych pod tym względem udzielić wiadomości. »Tylko niestety — kończył ajent — Rabinowicz, dorobiwszy się na dostawach dość znacznej fortuny, przeniósł się zaraz po skończeniu wojny do Warszawy. Jeżeli więc WPan chce przekonać się o tożsamości Jeniczanka i markiza, należałoby wyszukać owego żyda, sprowadzić do Stopnicy i pokazać mu markiza. Co się mnie tyczy, zdaje mi się, w tej chwili nie mam tu już nic do roboty, oczekuję zatem dalszych rozkazów«.



Słuchał uważnie, bez zmiany na twarzy...

Wiadomość ta do pewnego stopnia była pocieszającą, jeżeli w mem położeniu, w jakiem się wówczas znajdowałem, mogło być co pocieszającego. — W każdym razie dobrze się składało. Jeżeli bowiem markiz istotnie przybędzie do Warszawy, nie będę potrzebował owego żyda Rabinowicza wieźć do Grzymały, co zapewne połączoneby było z niemałemi trudnościami; dość będzie, gdy mu tutaj pokażę markiza.

Cała więc kwestya zasadzała się teraz na tem, czy markiz przybędzie do Warszawy, a jeśli przybędzie, jak mam się względem niego zachować. Różne mi pod tym względem przychodziły myśli, ale każda z nich miała swe słabe strony, postanowiłem więc naradzić się w tej kwestyi z mecenasem U., u którego już raz byłem i w którego życzliwość ufałem.

Jakoż, nie tracąc ani chwili czasu, gdyż szybkość w działaniu mogła stanowić o moim losie, udałem się do niego. Przyjął mię bardzo uprzejmie i zaraz na wstępie zapytał:

— No, cóż nowego? przynosi pan jakie dowody?

— Niestety! żadnych nie przynoszę dowodów — odrzekłem — ale przychodzę z ważną wiadomością.

Opowiedziałem mu więc krótkiemi słowy, jasno i dobitnie treść otrzymanych listów. Słuchał uważnie, bez żadnej zmiany na twarzy, a gdym skończył, odezwał się:

— W istocie to ważne, ale cóż pan myślisz zrobić?

— Właśnie przyszedłem się naradzić z panem mecenasem, jak mam sobie postąpić. Ja chciałem, nie bawiąc się w ceregiele długie z tym łotrem, po jego przyjeździe do Warszawy, oskarżyć go przed władzą o kradzież rubinu w Grzymale, o ukrywanie swego właściwego nazwiska i zażądać jego aresztowania. Tym sposobem przytrzymam go w Warszawie.

Adwokat wysłuchał mnie cierpliwie, pomyślał przez chwilę i wkońcu rzekł:

— Byłby to bardzo dobry projekt, żeby tylko można było dowieść, że markiz ukradł rubin w Grzymale i że nosi obce nazwisko. Tak jednak jak jest, zdaje mi się, że pan tego dowieść nie potrafisz — owszem narazisz się sam na rozgłos, który ci może bardzo zaszkodzić. Markiz bowiem w obronie własnej powie, jak to już raz powiedział, żeś ty ukradł rubin i postawi na to świadka, ogrodniczka z Grzymały, kiedy ty na dowiedzenie swego oskarżenia na niczyje świadectwo powołać się nie będziesz mógł. Upadnie zatem pierwsze oskarżenie z braku dowodów, a sam narazisz się na proces kryminalny, bo wówczas prokuratorya z urzędu wystąpi z dochodzeniem kradzieży. Wszystkie szanse są zatem przeciw panu, a kiedy pierwsze oskarżenie upadnie, sędziowie uprzedzeni przeciw tobie, rozstrzygną i drugie na korzyść markiza.

— Zapewne — rzekłem — gdybym tego oskarżenia nie poparł dowodami.

— Jakiemi dowodami? pokaż je pan...

— Naprzód ogłoszeniem znalezionem u burmistrza w Stopnicy.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się mecenas — mówiłem już raz panu, że to ogłoszenie dopóty nie ma żadnego znaczenia, dopóki pan nie udowodnisz tożsamości Jeniczanka i markiza.

— Wiem o tem i właśnie, znalazłszy Szmula Rabinowicza, udowodnię tę tożsamość.

Adwokat umilkł, znów się namyślił, potem rzekł:

— Tak, możnaby to zrobić, ale jestto wszystko rzeczą wątpliwą i niebezpieczną, bo, powtarzam, narobi się hałasu, wytoczą panu proces, i jeżeli go przegrasz, przepadłeś.

— Dlaczegóż mam koniecznie przegrać?

— Koniecznie! koniecznie! Juścić i wygrać możesz, ale to jest bardzo wątpliwe. Tu, kochany panie, są dwie sprawy: sprawa rubinu i sprawa przybrania obcego nazwiska. Gdybyśmy mogli od tej ostatniej rozpocząć i wygrać ją, coby nie było zbyt trudnem przy Rabinowiczu, a sądzę, że znajdą się i inni świadkowie znający Jeniczanka, wówczas sprawa samego rubinu mogłaby pójść łatwiej. Ale strona przeciwna nie będzie taka głupia, by nam dać do ręki broń przeciw sobie. Oni będą chcieli naprzód przeprowadzić sprawę rubinu i zrobią to z łatwością, bo na nasze oskarżenie o przybranie cudzego nazwiska, odpowiedzą oskarżeniem o kradzież... Sprawa więc rubinu pójdzie wprzódy na stół — przegrywamy ją oczywiście, bo nic za nami, a wszystko przeciw nam mówi — sędziowie są uprzedzeni do nas — przegrawszy jeden proces, przegramy i drugi. Oto jest istotny stan rzeczy, a tam gdzie idzie o honor, o cześć i życie całe, nie można robić nic takiego, coby nas na pewno nie doprowadziło do celu. Zatem nie radzę oskarżać markiza, ani żądać jego uwięzienia.

— Więc cóż robić, co robić? — zawołałem prawie w rozpaczy — jeśli coś zaraz nie postanowię, markiz może mi uciec — a jeśli ucieknie, przepadłem.

Adwokat spojrzał na mnie ze współczuciem, przetarł czoło, powstał, przeszedł się parę razy po pokoju i wkońcu rzekł:

— Kochany panie, podług mego zdania, a wierz mi, że ci radzę szczerze, trzeba koniecznie rzecz tę załatwić drogą pokojową. Jeżeli markiz nie sam ukradł rubin, to wie dobrze, kto to zrobił, on jeden więc trzyma losy twego honoru w swem ręku i od niego tylko można dowiedzieć się o tem. Idź więc do niego z prośbą czy groźbą, ale w cztery oczy, otrzymaj potrzebne zeznanie. Zapewnij mu bezkarność, bo tylko pod tym warunkiem może ci zrobić tę przysługę, zapewnij go, że spokojnie odjedzie do Ameryki. a nie wątpię, że otrzymasz to, czego pragniesz. Nie wątpię zaś na tej podstawie, że kiedy markiz jedzie do Ameryki, to widocznie postanowił wycofać się ze wszystkich tutaj interesów, albo też zmuszony do tego został. Nie zależy mu więc na tem, co tu o nim powiedzą. Idź pan więc do niego śmiało i działaj stosownie do okoliczności, ale władzy w sprawę tę nie mieszaj, bo to nie tylko do niczego nie doprowadzi, ale owszem zaszkodzi. Oto moja rada, oparta na długiem doświadczeniu i na szczerej życzliwości, jaką czuję dla pana.

Na tem skończyła się nasza rozmowa. Pożegnałem zacnego mecenasa, dziękując mu serdecznie za radę, o której wartości byłem głęboko przekonany. Jakoż postanowiłem nie inaczej działać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ostatnie westchnienie.

Był to dzień 18 listopada. Mgły szare snuły się ponad smutną ziemią, jakby ją chciały objąć w swe zimne ramiona i unieść hen ku błękitowi. Ptactwo zmokłe i zgłodzone żaliło się jakąś prawdziwie smutną melodyą, przelatując z miejsca na miejsce. Dzień ów był piętnem jakiegoś niewymownego smutku i goryczy. Wąską ścieżką, która prowadziła na miejsce wiecznego spoczynku, szła wolnym krokiem dziewica piękna, o twarzy białej, którą zdobiły piękne rumieńce i z oczu jej można było wyczytać głęboki smutek i tęsknotę za czemś. Doszła wreszcie do zamierzonego celu: do skromnej mogiłki, na której widniał czarny krzyż, a na nim Zbawca wisiał rozciągniony. Tu uklękła, oczy podniosła na Zbawcę wiszącego na krzyżu i gorące strumienie łez potoczyły się po jej dziewiczej twarzy.

Pierś jej podnosiła się niemiarowo, ponieważ ból, mieszczący się w niej, rozsadzał ją. Upadła wkońcu twarzą na mogiłę, szepcąc:

— O Panie, pociesz mię nieszczęsną, obudź w grobie tego, co go ukochało moje serce; wlej w niego życie o Panie mój! Poszedł w rekruty przed rokiem — poszedł i więcej nie wrócił; spoczywając w tym tu oto zimnym grobie, odebrali mu życie i zdrowie nielitościwi Kozacy... O hańba wam i przekleństwo, synowie cara!

Po tych słowach umilkła, długie westchnienie wyrwało się z jej zbolałej piersi. Ostatnie westchnienie! Upadła blada i bez ducha na mogiłę swego ukochanego Janka, ażeby się z nim połączyć na wieki... Zmrok już zapadał, a woale mgły szarej obwiły ciało zmarłej bogdanki na grobie Janka. Na drugi dzień grabarz pochował ciało jej obok kochanego. Żal i tęsknota za nim nie pozwoliła jej żyć na świecie, na którym bez kochania żyć nie można.

Kraków, 18 listopada 1911 r.

Robert Rydz.

Z TYGODNIA.

W sprawie ograniczenia świąt. Na konferencyi biskupów austryackich, która się rozpoczęła w Wiedniu dnia 7 b. m., większość biskupów oświadczyła się przeciw ograniczeniu liczby świąt katolickich w Austryi. Na jedno zgodzili się wszakże wszyscy, tj. na utrzymanie święta Bożego Ciała. Za zmniejszeniem liczby świąt byli przeważnie biskupi dyecezyi sąsiadujących z Włochami. Rozstrzygnięcie nastąpi w Rzymie. W każdym wypadku jednakże pozostanie święto Bożego Ciała; ale nawet i po zniesieniu innych świąt, święta te pozostaną jako święta kościelne.

Poseł Długosz ministrem Galicyi. W ubiegłym tygodniu ustąpił dotychczasowy minister skarbu Meyer, Niemiec. Na jego miejsce został ministrem skarbu dotychczasowy minister Galicyi Zaleski, ministrem Galicyi zaś zamianował cesarz posła Władysława Długosza. Nowy minister znany jest w kołach przemysłowych w kraju jako właściciel kopalni nafty w Borysławiu. Z tego tytułu jest prezesem Związku pracodawców przemysłu naftowego i wiceprezesem krajowego Związku producentów nafty. Piastuje nadto godność wiceprezesa krak. Tow. rolniczego, prezesa Tow. ubezpieczeń »Wisła« i prezesa Banku ludow. Jest także właścicielem dóbr Siary - Sękowa i marszałkiem powiatu gorlickiego. Jako jeden z najwybitniejszych członków Polskiego Stronnictwa ludowego i wiceprezes jego Rady naczelnej, wybrany został posłem przy ostatnich wyborach do Sejmu, następnie do Rady państwa. Urodził się w r. 1864 jako syn radcy sądowego w Krakowie. W Krakowie też uczęszczał do szkoły realnej, poczem w Czechach kształcił się w kierunku przemysłowo-technicznym. Znaną jest jego działalność dobroczynna. Między innemi założył bursę dla 30 chłopców w Gorlicach, którą subwencyonuje kwotą 6000 kor. rocznie. Założył »Dom włościański« w swojej wsi Siary i wiele innych pożytecznych instytucyj. P. Długosz jest pierwszym ministrem, powołanym na tę godność z szeregów polskiego stronnictwa ludowego.


Władysław Długosz.

Wojna włosko-turecka. Siły włoskie w Trypolitanii wynoszą obecnie już sto tysięcy żołnierza. Armia ta jest obecnie pozostawiona prawie zupełnie samej sobie, gdyż wszystkie prawie okręty wojenne odpłynęły w nieznanym kierunku od Trypolisu. Całą tę stutysięczną armię trzyma wciąż jeszcze w szachu, a raczej zamkniętą w Trypolisie, Benghazi i Tobruk o wiele słabsza armia turecko-arabska, która, według wiadomości tureckich, wynosi zaledwie 25.000 ludzi. Mimo przeważających sił, Włosi poprzestają wciąż jeszcze na akcyi obronnej. Co prawda pora deszczowa, która w tym roku jest w Trypolitanii niezwykle obfita w opady, uniemożliwia im atakowanie Turków, a ponadto fatalnie wpływa na stan zdrowia ich wojsk. Obfitość deszczu zapewnia w głębi kraju obfite urodzaje, co również wyjdzie Włochom na niekorzyść, gdyż zapewni Turkom obfite zapasy żywności, nim bowiem Włosi zdołają dotrzeć w głąb kraju, będzie już po zbiorach. Wyjściem z tego ciężkiego położenia dla Włochów mógłby być jedynie energiczny atak na całej linii. Włosi jednak poprzestają wciąż na obronie i to wcale nie tęgiej, a nie zdecydowali się na rozwinięcie działań przeciw wyspom tureckim na morzu Egejskiem.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Na liczne zapytania odpowiadamy jeszcze raz, że do losowania **Podarków szczęścia tylko ci będą mieli prawo, którzy przyślą całoroczną prenumeratę na 1912 r. przed Nowym Rokiem. Kalendarze „Roli“, o ile zapas starczy, otrzymają wszyscy, którzy przyślą na 1912 r. prenumeratę w kwocie 4 Kor. 50 hal.**

Portret Ks. Władysława Staicha, zasłużonego misyonarza, którego piękne wspomnienia z podróży »na Saksy« skończyliśmy drukować w dzisiejszym numerze podajemy na stronie 4. Z przyjemnością możemy podzielić się z naszymi Czytelnikami miłą nowiną, że Ks. prof. Staich przyrzekł nam stałe współpracownictwo do »Roli«.

(J. K.) **Wieczór Mickiewiczowski.** W niedzielę dnia 12 b. m. odbył się w Olesku w sali TSL. wieczorek ku czci króla pieśni, Adama Mickiewicza. Program wypełniły następujące punkta: Zagajenie przez tutejszego kierownika szkoły, odczyt o Adamie Mickiewiczu, dwie deklamacye a mianowicie: »Pieśń Wajdeloty« z poematu Mickiewicza »Konrad Wallenrod« i »Pomnik Piotra Wielkiego«, śpiew solowy do słów Adama i żywy obraz, przedstawiający Zosię z »Pana Tadeusza«, otoczoną dziećmi, a z poza drzew wygląda hrabia. Po wieczorku odegrano sztuczkę Bałuckiego p. t.: »Polowanie na męża«. Publiczność dopisała bardzo. Czysty dochód w kwocie 60 kor. przeznaczono na miejscowe Koło T. S. L., które jest jedyną ostoją polskości w tem miasteczku, gdyż w większości mieszkańcy są Rusinami. Cały ten wieczorek był urządzony siłami nauczycielstwa tutejszego, gorąco odczuwającego swoje posłannictwo wobec drogiej Matki-Ojczyzny.

(J. S.) **Nowa kasa Raiffeisena.** W Dąbrowy koło Tarnobrzegu w dniu 5 b. m. założyliśmy w naszej gminie kasę Raiffeisena i wybraliśmy jednogłośnie przełożonym zarządu kasy p. Krzysztofa Burghardta, organistę i sekretarza naszej gminy, człowieka bardzo zasłużonego w naszej gminie, zaś kasyerem Jana Gąsiora, naczelnika straży pożarnej, który także niejedną dobrą rzecz zrobił w naszej gminie. Tylko się trzymajmy kupy bracia Dąbrowianie, tak jak dotąd, a będzie nam dobrze.

(J. F.) **Ślub na łożu śmierci.** Pewien 19-letni kawaler K. z Tarnowa, zaręczył się z Apolonią Uszko z Bogumiłowic, powiat Brzesko. Następnie wzięto go do wojska. W tym czasie narzeczona zachorowała ciężko na raka w piersi. Operacya, jak zwykle w tej chorobie, już nie pomogła. Pomimo to młody człowiek postanowił ożenić się z nią. Dostawszy pozwolenie od wojska, wziął ślub na łożu śmierci, którego mu udzielił ks. Józef Mroczek, katecheta z Wierzchosławic. W pięć dni później zmarła poślubiona na łożu śmierci małżonka.

(J. F.) **Nieszczęśliwy wypadek.** We wsi Komorowie, powiat Tarnów, w zeszłym tygodniu zdarzył się następujący wypadek: Dziesięcioletni syn Mikołaja Kosiatego pasł konie na pastwisku, trzymając je na postronku, do którego przywiązał się wpół. Nagle konie, zerwawszy się, pędziły z nim do domu, oddalonego niespełna pół kilometra. Nieszczęśliwy chłopiec, nim go uratować zdołano, ducha wyzionął.

(A. D.) **Ofiara wściekłego psa.** We wsi Babicy, w powiecie rzeszowskim, w nocy z 2 na 3 listopada, powracającego z pociągu do domu, 20-letniego Stanisława Trybalskiego pokąsał wściekły pies w rękę. Odesłano go do szpitala w Krakowie, gdzie odjęto chłopakowi lewą rękę po łokieć.

(K. P.) **Pod kołami pociągu.** W d. 13 b. m. pomiędzy stacyami Podłężem a Kłajem zginął niejaki Stanisław Nowak ze Szarowa, powiat Bochnia, lat 19 liczący, robotnik kolejowy. Ustępował z toru przed pociągiem towarowym na drugi tor, tymczasem nadjechał pociąg pospieszny i biedak dostał się niespodzianie pod koła. Została z niego tylko niekształtna masa ciała; nogi osobno i ręce połamane, a mózg po całym torze rozpryśnięty. Rodzice nie posiadają się z rozpaczy.

Dziecię żywcem spalone. Ze Lwowa donoszą, że straszny wypadek zdarzył się w ub egły piątek wieczorem w domu zarobnika Koszulińskiego na Zniesieniu. W domu bez opieki starszych pozostawiono dwóch chłopców: sześcioletniego i trzechletniego. Młodszy spał w kołysce, a starszy bawił się koło niego zapałkami. Wtem od zapalonej zapałki zajęło się siano w kołysce, a ogień objął śpiące dziecię tak szybko, że biedny chłopiec nie mógł się wydostać z kołyski i wprost spalił się na węgiel. Gdy na krzyk starszego chłopca zbiegli się sąsiedzi, dziecię dawało zaledwie słabe oznaki życia i wkrótce wyzionęło ducha.

(K. T.) **Ostrożnie z bronią palną.** W Jadownikach mokrych jest żydek, malarz pokojowy, Mojżesz N. Zaprosił go do malowania pokoi karczmarz z Dołcza, pow. Brzesko. Po robocie należała się wypłata, ale karczmarzowi nie chciało się zapłacić malarzowi, więc przyszło do skargi sądowej, w której malarz przegrał. Gdy wyszli ze sądu, Mosiek sobie kupił naboi do rewolweru. Gdy przechodzili przez las, Mosiek mówi: »Jak mi nie oddasz tych 100 koron, to cię zastrzelę« i wypalił w powietrze Żyd się przeląkł, rzucił pieniądze i umknął na posterunek do Zaborowia, a malarz, wziąwszy pieniądze z ziemi, poszedł przez las do domu do Jadownik. Skoro tylko wszedł do izby, zaraz zjawił się żandarm. Aresztowano go i odstawiono do sądu w Radłowie, a stamtąd do wyższego sądu w Krakowie. Tak się kończy wojowanie z bronią w ręku, boć przysłowie mówi: »Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie«

Straszna śmierć. Pewna, 60 lat licząca, majętna gospodyni ze wsi Kryszczatych na Bukowinie, przyszła w odwiedziny do zięcia swego a zabawiwszy tamże nieco dłużej, postanowiła przenocować. Ponieważ jednak w chacie nie było tyle miejsca, przeto staruszka udała się do szopy na siano, złożone na strychu, dokąd ją też córka z zięciem odprowadzili i ułożyli do snu.



Nazajutrz rano, gdy zięć jej wszedł do szopy, zastał teściową leżącą bez życia na ziemi i wbitą formalnie głową na lemiesz, stojącego tamże pługa. Nieszczęśliwa staruszka, prawdopodobnie podczas snu stoczyła się na ziemię ze strychu, a uderzywszy podczas upadku głową o lemiesz, wbiła się nań i prawdopodobnie na miejscu zakończyła życie.

Spłoszona krowa. Na jednem z przedmieść Wiednia prowadzono krowę do rzeźni, gdy wtem nadjechał szybko samochód. Krowa tak się zlękła sygnałów samochodu, że wyrwała się prowadzącemu ją człowiekowi, wpadła nań i potratowała nogami.



Ludzie spostrzegłszy wypadek, zaczęli krowę ścigać, ta jednak, pędząc dalej, długi czas jeszcze szerzyła popłoch, wywracała dzieci, wpadała na stragany przekupniów. Z innego przejeżdżającego samochodu strzelano do niej dwukrotnie, lecz bez skutku. Wkońcu zarzucono jej sznur na szyję i zatrzymano w szalonym pędzie. Obrazek nasz przedstawia ten osobliwy na ulicach dużego miasta wypadek.

(J. K.) **Pożar folwarku.** Kilka dni temu pożar obrócił w perzynę folwark w Wierzblanach koło Buska. Zniszczały wszystkie tegoroczne plony. Ogień powstał z powodu młocarni, skąd iskra padła na słomę. Spaliły się najpierw dwa stogi a stąd dopiero wicher zaniósł ogień na zabudowania folwarczne. Ogień był tak silny, że płomień jego było widać na 4 mile zdala. Na miejscu pożaru czynne były wszystkie sikawki z okolicznych miejscowości. Szkoda w większej części była ubezpieczona.

Zniknięcie sprawcy zamachu na biskupa. Pisaliśmy w swoim czasie o napadzie księdza ruskiego Kamińskiego na grecko kat. biskupa stanisławowskiego ks. Chomyszyna. W stanisławowskim sądzie karnym toczy się śledztwo wstępne przeciw ks. Kamińskiemu, którego prokuratorya państwa oskarża o gwałt publiczny i lekkie uszkodzenie ciała. Tymczasem dotąd, mimo pilnych poszukiwań, nie zdołano stwierdzić miejsca pobytu ks. Kamińskiego, wobec czego rozpisano za nim listy gończe.

(M. W.) **Trup kobiety bez głowy.** Dn. 11 b. m. w południe, włościanin Fedio Myczkowski z Moczar, pow. Lisko, podczas orki w polu udał się do pobliskiego potoku napić się wody. Gdy powracał brzegiem potoku pies jego zwęszył jakiś przedmiot, leżący w rowie, przykryty jałowcowemi gałęziami, i począł nad tem ujadać. Zadziwiło to Myczkowskiego, zbliżył się do tego miejsca a odsłoniwszy gałęzie, spostrzegł leżące zwłoki. Przestraszony, natychmiast udał się do wsi Moczar, gdzie natrafił na urzędnika sądowego, p. M. Babiaka, i oznajmił mu o wypadku. P. Babiak, w towarzystwie dwóch włościan, udał się na wskazane miejsce, gdzie oczom wszystkich przedstawił się straszny widok. Pod krzakami w rowie, przykryte gałęziami, leżały zwłoki kobiety w koszuli, letniej bluzce i takiejże spodnicy, lecz bez głowy, którą morderca, dla zatarcia śladów, odciął i w niewiadomem miejscu porzucił. P. Babiak posłał natychmiast Fedia Myczkowskiego do gminy Hoszowa, by zawiadomił władze śledcze. Dnia 12 b. m. rano udał się na miejsce zbrodni sędzia Mokrzycki i wachmistrz żandarmeryi Mech, lecz narazie nic nie wyśledzili, dopiero popołudniu udało się wpaść na

trop mordercy, którym ma być Dawid Hersch Lincer z Moczar i tegoż przyaresztowali. Dnia następnego przyaresztowano drugiego żydka, Szattera, szwagra Lincera. Śledztwo w toku.

(K. T.) **Pożary**. W dniu 12 b. m. spłonęły dwie stodoły i folwark w Dąbrówkach nad Wisłą. W dniu 13 b. m. w Janikowicach, pow. Dąbrowa, spłonęło gospodarstwo Michała Witkowskiego. Przyczyna pożaru nieznana. — W Miechowicach, pow. Dąbrowa, w nocy 15 b m. spłonęły 2 gospodarstwa Marcina Macka i Adama Buchama, wszystko spłonęło doszczętnie, ponieważ z powodu posuchy stawy i studnie powysychane.

(J. K.) Dnia 11 b. m. spłonęło kilka gospodarstw we wsi Ciszki koło Oleska. Ogień wybuchł wskutek nieostrożnego obchodzenia się ze światłem. Szkoda znaczna, gdyż nieubezpieczona.

(K. T.) W dniu 10 b. m. o godz. 8 wieczór, w Jadownikach mokrych, pow. dąbrowski, wybuchł pożar w chacie gospodarza Ignacego Bratka. Spłonęła chata, niedawno postawiona, stodoła, stajnia, dwie sieczkarnie i inne sprzęty gospodarcze. Szkodę obliczają na przeszło 4000 kor., a była ubezpieczona tylko na 1500 kor. Położenie jego jest przykre tem bardziej, że zima już się zbliża do chat, a on został bez dachu nad głową. Pomimo, że straże pożarne okoliczne ruszyły z pomocą, o ratunku mowy być nie mogło, ponieważ nigdzie w pobliżu niema kropli wody, więc gospodarstwo spłonęło do szczętu. — W Libiczku, pow. Dąbrowa, tegoż samego dnia, o godz. 10 wieczór wybuchł pożar w stodole gospodarza Misiaska, zapalając i drugą stodołę brata pod dachówką. Pomimo, że straże przybyły z pomocą ratunek był niemożliwy z braku wody, ponieważ z powodu posuchy stawy a nawet studnie wyschły.

(F. K.) Dnia 6 listopada wybuchł pożar w gospodarstwie Bugla w Rychwałdzie. Spalił się dom mieszkalny i stodoła. Na miejsce pożaru przybyły sikawki, które pożar ugasiły. Na jakie pół godziny przed tym pożarem podpalono także dom niejakiego Gwozdka, który jednak zdołano ugasić, nim się rozszerzył na większą skalę.

F. K.) **Szkoła gospodarstwa domowego**. Staraniem krakowskiego Koła Pań TSL. założono w Orłowej na Śląsku austr. szkołę gospodarstwa domowego wiejskiego. Do szkoły przyjęto 38 uczenic, gdyż dla więcej niema miejsc. Przyjmowane są wogóle dziewczęta od 14 roku życia. Dziewczęta te uczą się tam wszystkiego, co jest potrzebne do gospodarstwa, jako to: gotowania, prania, prasowania, szycia, kroju, towaroznawstwa, stylistyki, hygieny, rachunków, języka niemieckiego i innych pożytecznych rzeczy. Szkoła ta znalazła powszechne wzięcie i było więcej zgłoszeń jak miejsc. Zakład ten jest bardzo pożyteczny, bo tylko przez wiedzę można polepszyć swój dobrobyt.

(F. K.) **Nieszczęśliwy wypadek**. Przy szybie »Gabryeli« w Karwinie, na Śląsku austr., w pierwszych dniach b. m. stała na moście, przez który się wozi węgle, niejaka Wolny ze Stonawy. Nagle zbyt się przechyliła i spadła w dół przeszło 15 metrów głęboki i zabiła się na miejscu.

Ilość żydów w Czechach. Wedle ogłoszonych przez namiestnictwo czeskie wyników ostatniego spisu ludności, ilość żydów w Królestwie czeskiem w znacznym stopniu zmniejszyła się. W r. 1900 wynosiła 92.806, wedle spisu zaś z roku 1910 tylko 85.599, t. j. zmniejszyła się o 7207 czyli o przeszło 7 proc. Przyczyną tego zjawiska jest stałe zmniejszanie się ilości urodzeń, a z drugiej strony wychodźtwo żydów, spowodowane wzrostem sił gospodarczych w społeczeństwie czeskiem. Podobny pożądany objaw wykazuje również nasze W. Księstwo Poznańskie, gdzie w niektórych miastach i miasteczkach żydzi i Niemcy musieli ustąpić przed Polakami, którzy tam zawładnęli handlem. U nas, w Galicyi, w wielu już wsiach niema żydów po karczmach, w miastach i miasteczkach jednak jest ich ciągle jeszcze prawdziwe zatrzęsienie. Nasi katoliccy kupcy i rzemieślnicy nie okazują tej energii i działalności, co poznańscy, dlatego od nadmiaru żydów tak bardzo jeszcze cierpi nasz handel, zwłaszcza po małych miasteczkach.

Złączeni na śmierć. W jednym z poprzednich numerów »Roli« pisaliśmy o »jarmarkach na dziewczęta« w miejscowości Gajna w Siedmiogrodzie, które odbywają się co roku 16 lipca. Obecnie już na tych zjazdach włościan w Gajnie prawie że nie kojarzą się młode pary. Zdarzają się jednak jeszcze wyjątki.



Tego roku na takim jarmarku poznała się młoda para. Za parę tygodni pobłogosławieni przez duchownego jechali do wsi w kilka fur na wesele, gdy nagle pod młodą parą załamał się słaby mostek nad wyschniętą a kamienistą rzeczką. Spadli oboje w dół tak nieszczęśliwie, że niebawem z powodu ciężkich obrażeń czaszek życia dokonali. Ślub więc zamiast złączyć ich na życie, złączył ich na śmierć. Obrazek nasz przedstawia tę młodą parę na jarmarku w Gajnie.

Pożar gazów podziemnych. W nocy z soboty na niedzielę zeszłego tygodnia podróżni, jadący koleją Marosvasarhely do Kotsardu na Węgrzech, byli świadkami budzącego grozę zjawiska przyrody. Cała płaszczyzna w okolicy miejscowości Kiszarmas tworzyła morze płomieni, buchających wysoko ku ciemnym niebiosom. Jak się następnie dowiedziano, w źródłach gazu podziemnego w Kissarmas nastąpiła katastrofa. Wskutek sztucznego zamknięcia głównego ujścia źródeł gazowych, gaz utorował sobie drogę szczelinami podziemnemi i zaczął przenikać na powierzchnię ziemi, gdzie zapalił się z niewiadomej przyczyny. Na przestrzeni 17 hektarów utworzyło się w jednej chwili 30 ogromnych słupów ognia, wywołując takie wstrząśnienie, że znajdujący się w pobliżu nasyp kolejowy zawalił się na długości 300 metrów, a wagony i podkłady uległy zniszczeniu. Wstrząśnienie to, połączone z grzmotem podziemnym, odczuto o godz. 2 w nocy we wszystkich miejscowościach okolicznych. Ludność pospieszyła na miejsce katastrofy, ale pożar jest tak wielki, że zbliżyć się do płonących gazów nie sposób. Jeden z dróżników kolejowych, obudzony wstrząśnieniem, zerwał się z łóżka i chciał zapalić lampę, ale gaz, nagromadzony w chacie, wybuchnął z taką siłą, że zabił dróżnika i jego żonę.

Miłośnik dzieci. Zmarły niedawno w Dreźnie kapitalista Krenkel zapisał miastu znaczny majątek na wybudowanie tanich mieszkań dla robotników, mających wiele dzieci. Z fundacyi tej wystawiło mia-

sto Drezno dotąd trzy schludne domy po 6 mieszkań, w których za 250 marek rocznego komornego otrzymuje lokator trzy pokoiki, kuchnię, balkon, poboczne ubikacye, wspólne używanie kąpieli, pralni, maglowni, i mały ogródek. Pragnących nająć te mieszkania było naturalnie bardzo wielu, lecz wybrano tylko takich, którzy mają 6 lub więcej dzieci.

Przeciw językowi polskiemu. Wedle pism niemieckich urządzony będzie w Berlinie zimą doroczny kurs języków dla urzędników pocztowych. Będą się tam uczyli języka arabskiego, tureckiego, perskiego i innych, tylko o polskim języku niema mowy. Poczta niemiecka widocznie dąży do tego, aby mieć urzędników umiejących po chińsku, po hotentocku itd. a o polski język, choć w Niemczech samych żyje blisko 4 miliony Polaków, nie chodzi!

Niemieckie pozdrowienie. Niemców ogarnia już prawdziwa mania w zakładaniu towarzystw. W Darmstadzie założono przed mniej więcej trzema laty »Towarzystwo niemieckiego pozdrawiania czyli kłaniania się«. Jakiego rodzaju ma być to »pozdrowienie niemieckie« nie wiadomo, dość, że Towarzystwo odnośne liczy obecnie w Niemczech już 20 filii. W tych dniach założono także filię w Poznaniu. Przystąpiło do niej 18 osób, oczywiście zapalczywych Niemców, którzy kłaniać się będą tylko po niemiecku!

Szlachetny braciszek. W Niemczech, w okolicy nadreńskiej, wyjechała pewnego dnia popołudniu matka kilkorga dzieci do pobliskiego miasta po sprawunki i miała wrócić wieczorem. Dzieci jej: 5-letni chłopczyk i 3-letnia dziewczynka, chciały powitać matkę na stacyi kolejowej, wyszli więc wieczorem z domu, ale zbłądziły w drodze. Nie zastawszy dzieci w domu, matka udała się na poszukiwania, dopiero jednak następnego ranka znaleziono oboje dzieci w bruździe na polu. Chłopczyk był już nieżywy z wycieńczenia i zimna, pragnąc bowiem zabezpieczyć siostrzyczkę od chłodu nocnego, otulił ją starannie w zdjęte z siebie ubranie. Mały bohater przypłacił życiem to poświęcenie, ale zato dziewczynka ocalała.

Tanie zapałki. Ciekawa walka konkurencyjna toczyła się niedawno w jednem z miast w Prusach zachodnich. Pewien kupiec polecał paczkę (10 pudełek) zapałek po 24 fen., konkurenci ogłosili, że sprzedają po 23 fen. Jako odpowiedź na to sprzedawał pierwszy już po 22 fen., lecz konkurencya poszła jeszcze dalej i sprzedawała po 21 fen. Aż wreszcie pogodzili się wszyscy razem i ustanowili cenę 30 fen. a więc bardzo wysoką. Tak to zwykle bywa z wszelkiemi zmowami czyli kartelami. Wszyscy sprzedający się porozumieją ze sobą i biedny rzemieślnik, robotnik czy włościanin płacić musi wyśrubowane ceny.

Jak się żydki przelękły kontrolora? O zabawnem zdarzeniu w pociągu opowiada gazeta »Ziemia Lubelska«: W wagonie trzeciej klasy pociągu, jadącego z Lublina do Warszawy, jechał po raz pierwszy chłopak z Lubelskiego. Naraz ktoś krzyknął: »Kontrolor idzie« i w przepełnionym żydami wagonie wszczął się popłoch. Jedni uciekali do sąsiedniego wagonu, inni pospiesznie kryli się pod ławkami. Za ich przykładem poszedł, niewiele myśląc, i ów chłopak, choć właściwie nie miał potrzeby ukrywać się, albowiem bilet miał w porządku. Wsunął się pod ławkę, pragnąc uniknąć widoku groźnego »kontrolora«. Niestety jednak go nie uniknął. Nieborakowi wystawały z pod ławki nogi i kontrolor odrazu to spostrzegł. Chłopca wyciągnięto z pod ławy. Na zapytanie dlaczego się ukrywał, skoro miał bilet w porządku, odpowiedział: »A bo inni tak robili«, przyczem wskazał żydów, którzy, nie mając biletów, skryli się pod ławkami, dzwoniąc ze strachu zębami.

Zgon kapłana w kościele. W kościele św. Aleksandra w Kijowie zmarł nagle ks. Stanisław Pawłowski. Z okazyi uroczystości Wszystkich Świętych ks. Pawłowski odprawiał w kościele poranną mszę. Już podczas kazania zrobiło mu się niedobrze, dokończył je jednak i dopiero, gdy wyszedł do zakrystyi powiedział, że jest chory. Wezwano znajdującego się wśród modlących lekarza, nadjechało »Pogotowie«, pomimo to nie udało się księdza ocalić, śmierć nastąpiła kilka minut. Zmarły liczył 38 lat. Ks. Pawłowski przez ostatnie 5 lat mieszkał w Kijowie i był katechetą w kilku średnich zakładach naukowych w Kijowie.

Z Częstochowy. Ruch pątniczy na Jasną Górę w tym roku był przez lato znacznie mniejszy, niżeli w roku zeszłym, a teraz już prawie zupełnie ustał. W ubiegłych latach pielgrzymki przybywały do Częstochowy aż do uroczystości Wszystkich Świetych.

Pies wybawcą 200 rozbitków. Przed kilku tygodniami osiadł na mieliźnie wśród skał podwodnych na morzu Północnem parowiec angielski. — Z 200 ludzi załogi i podróżnych czterech popłynęło do brzegu na łodzi, jakie znajdują się na każdym okręcie. Morze było wzburzone, bałwany miotały parowcem, któremu groziło rozbicie. Chwila była bardzo groźna. Kapitan tonącego statku wpadł jednak na doskonały pomysł. Puścił na morze swego psa, nazwiskiem »Cezar«, z rasy nowofunlandzkiej, które wybornie pływają i ratują tonących i przywiązawszy mu linkę do obroży wskazał, by popłynął do ocalonych już i stojących na brzegu rozbitków



Pies zrozumiał, o co chodzi. Ponieważ morze było niespokojne, przez trzy kwadranse walczył z falami, zanim do brzegu dopłynął. Tam ocaleni umocowali linkę, której drugi koniec był na parowcu, poczem po jednemu, na umyślnych pasach ratunkowych, uczepionych do liny na kółku, dostawali się na brzeg, ciągnieni przez uratowanych i na lądzie już się znajdujących rozbitków. Trwało to bardzo długo, ale ostatecznie wszyscy ocaleli, dzięki mądremu i szlachetnemu zwierzęciu, które z narażeniem życia linę ratunkową na brzeg wyciągnęło. Jeden z podróżnych, bogaty Anglik, ofiarował kapitanowi znaczniejszą kwotę na utrzymanie psa-wybawiciela, dopóki będzie żył; resztę zaś sumy przeznaczył na kamień w miejscu, gdzie pies będzie pochowany. Na kamieniu tym wyryty ma być napis: »Cezarowi, wybawicielowi 200 ludzi«. Obrazek nasz przedstawia ten wypadek na morzu.

Śmierć z urojenia. Posługacz kolejowy, Michał Starycki, czyścił przed niedawnym czasem na stacyi Krasnojarsk, w Rosyi, t. zw. wagon lodowy, przeznaczony do przesyłek łatwo ulegających zepsuciu. Zmęczony służbą, zasnął przy pracy i obudził się dopiero wtedy, gdy pociąg był już w ruchu i wagon zamknięto. Nie znając urządzenia aparatu, przy-

puszczał robotnik, że skazany jest bez żadnego ratunku na śmierć przez zamarznięcie. Myśl ta tak dalece nim owładnęła, iż wkońcu rzeczywiście zmarł skutkiem cierpień wytworzonych w wyobraźni. Jak straszne chwile przechodził przed śmiercią świadczą napisy kredą, jakiemi pokryte były ściany wagonu, w którym znaleziono zwłoki Staryckiego. Oto kilka z nich: »Robi się zimniej niż przypuszczałem«. »Niema już nadziei ocalenia«. »Zbliżam się szybko ku śmierci«. »Stopy mam zimne już, jak lód«. Ostatnie słowa, napisane na ścianie ręką umierającego, brzmiały: »Jestem już napół nieżywy«. Kiedy pociąg zatrzymał się w oddaleniu 30 klm. od Krasnojarska, otworzono wagon i znaleziono w nim już tylko zwłoki Staryckiego. Zdumienie obecnych było tem większe, że w wagonie było bardzo łagodne powietrze, a aparat oziębiający był zepsuty. Umarł więc biedak tylko z urojenia.

Ilu jest Włochów na świecie. Z Rzymu telegrafują: Według tymczasowego spisu ludności z 10 czerwca 1911 wynosi ludność Włoch 34,686.000, poza granicami państwa zaś żyje ponadto 1,150.000 Włochów. Jest to więc jeden z najliczniejszych narodów w Europie; w kraju rodzinnym mu ciasno, wielu Włochów, zwłaszcza robotników, kupców itp. żyje w obcych państwach. Dla zdobycia więc rozległego a bliskiego kraju, gdzieby znaczna liczba Włochów znaleźć mogła byt, prowadzą obecnie Włochy wojnę z Turcyą o Trypolitanię.

Wpływ wojny na handel we Włoszech. Wojna włosko-turecka nie wywarła dotąd zbyt wielkiego wpływu na handel we Włoszech. W miesiącu październiku jest tam zwykle mały ruch handlowy, a w bieżącym roku jeszcze mniejszy z powodu stosunków ekonomicznych Europy. Wpływ wojny odbija się natomiast silnie na żegludze morskiej, ponieważ wiele okrętów handlowych użyto do celów wojennych. Nie ulega wątpliwości, że okoliczność tę wyzyskają inne towaszystwa żeglugi ku wielkiej dla siebie korzyści.

Demonstracya katolicka. W Lyonie, urządzono wielką demonstracyę, jako protest przeciw wydaleniu z Francyi zakonnic katolickich. Pochód demonstrantów udał się przed prefekturę (magistrat), gdzie oddano pismo protestujące. Na ulicach przyszło w kilku miejscach do starć, podczas których wiele osób poraniono; nastąpiło również wiele aresztowań.

Rabin, który jadł wieprzowinę. W Paryżu odbywa się interesujący proces, jaki wytoczył były rabin miasta Turs, Bauer, naczelnemu zarządowi wyznaniowemu żydowskiemu we Francyi. Bauera złożono z urzędu rabina przed kilku laty jeszcze, wskutek oskarżenia, podniesionego publicznie przez jego szwagra, iż jadł w jednej z restauracyi wieprzowinę. Oburzeni żydzi zdarli z rabina szaty liturgiczne, a naczelny zarząd wyznaniowy żydowski w Paryżu złożył go z urzędu. Bauer popadł wskutek tego wraz ze swą rodziną w ostatnią nędzę. W procesie dziś wytoczonym Bauer udowadnia, że oskarżenie go było fałszywe, bo nie jadł wcale wieprzowiny, i domaga się jako odszkodowania od naczelnego zarządu wyznaniowego pół miliona franków. Jadł czy nie jadł wieprzowiny, w każdym razie rabin chce zrobić na tem swojem nieszczęściu gruby interes.

Zabawne doświadczenie z winem. Jeden ze znanych profesorów paryskiego wydziału lekarskiego chciał stwierdzić, w jakiej mierze wino jest potrzebne do pokrzepienia żołnierzy. Przeprowadził doświadczenia, które mu się jednak niezbyt powiodły. Profesor wziął 20 żołnierzy z rozmaitych pułków i umieścił ich w szkole wojskowej; dziesięciu miało otrzymywać do posiłków jedynie czystą wodę, dziesięciu innych dobre wino. Przez miesiąc profesor miał ich w obserwacyi, poczem zdał sprawę ze swoich doświadczeń przed akademią lekarską, wyłuszczając, że te dwie różne metody oddziałały różnie na organizm żołnierzy. Niestety, na nieszczęście dla profesora, wyszło wkrótce na jaw, że podstawa tego twierdzenia była krucha: żołnierze, którzy się znali wszyscy, przez cały miesiąc dzielili się przyjaźnie wodą i winem.

Adres dzieci irlandzkich. 6.000 dzieci irlandzkich podpisało pełen serdeczności i braterstwa adres do dzieci polskich, prześladowanych w zaborze pruskim. Adres, oprawny jako księga pamiątkowa, będzie umieszczony w muzeum Czartoryskich w Krakowie.

Koronacya króla angielskiego w Indyach. Na tę niezwykłą w dziejach Anglii uroczystość udała się już angielska para królewska. W przeddzień odjazdu odbył się obiad w pałacu, na którym znajdowali się wszyscy członkowie rodziny królewskiej obecni w Londynie. W sobotę dnia 11 b. m. rano w otoczeniu eskorty gwardyi, udali się dostojni podróżnicy na dworzec, gdzie na nich czekało około 300 osób, członków rodziny królewskiej, oraz ministrowie i dygnitarze. Po przybyciu królowej-matki z dwiema córkami, przy dźwięku orkiestr wojskowych i pożegnalnych wiwatów, pociąg wyruszył do portu Portsmouth, gdzie na okręcie »Medina«, gotowym do odpłynięcia, odbyło się pożegnalne śniadanie. Niewiele brakowało, a zdarzyłby się w chwili odjazdu wypadek, który mógłby był zniweczyć wszystkie przygotowania i odroczyć datę odjazdu. Ciężko naładowany statek kupiecki, dzięki gęstej mgle panującej w porcie, pędził wprost na »Medinę« i tylko dzięki szybkiemu obrotowi kapitana »Mediny« zapobieżono zderzeniu się okrętów, które byłoby niezawodnie zgruchotało przednią część królewskiego statku. Odpłynął nareszcie przy huku dział na pełne morze. W początku grudnia królestwo wylądują w Indyach, które opuszczą w drugiej połowie stycznia.

Dola murzynów w Ameryce. Nieraz już pisaliśmy, jak srogo mieszkańcy Ameryki obchodzą się z murzynami i jakie częstokroć krwawe i okrutne samosądy gotują im za lada przewinienie. Wobec tego nie dziw, że doznaje się czasami wrażenia, jakoby cywilizacya amerykańska była jedynie maską, pod którą kryje się surowe barbarzyństwo.



Oto nowy przykład takiego barbarzyństwa: Urzędnik sądowy w jednem z mniejszych miast Stanów Zjednoczonych otrzymał polecenie sprowadzenia kilku murzynów do gmachu sądowego, celem ukarania ich za jakieś drobne przekroczenia. Murzyni jednakże stawili opór i nie chcieli iść do sądu. Wówczas ów urzędnik dobył rewolweru i kolejno zaczął do nich strzelać. Padło trzech murzynów, jeden został ciężko raniony. Działo się to na ulicy, a nikt się za biedakami nie ujął. Urzędnik ów miał za sobą — prawo!

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Marya Wawrzyk w P.: Cieszy nas, że słowa umieszczone w »Roli« były osłodą dla Państwa w ciężkim Waszym smutku. Śmierć ta dotknęła i nas, gdyż wiedzieliśmy, że ś.p. Ojciec Pani był szczerym naszym przyjacielem. Za mi e dla nas słowa serdecznie dziękujemy. — Andrzej Wankowicz w H.: Kartkę otrzymaliśmy w sam czas, przeto załatwienie reklamacyi wstrzymaliśmy. Dobrze Pan zrobił, że nas Pan zawiadomił o spóźnionem nadejściu Kalenda za, gdyż każda reklamacya sprawia dużo kłopotu. Łączymy pozdrowienia. — Wiktor Bułka w M: Nadesłane szarady umieścimy. — Jerzy Klaisek w K.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy — z niektórych rzeczy skorzystamy. Numer ma Pan 902. Za pochwały Kalendarza jesteśmy wdzięczni. — Jan Bednarski w W. Ch.: Zagadki i wierszyk umieścimy. — Walenty Pasierb w Cz.: Nadesłane utwory pomieścimy, gdy tylko miejsce pozwoli. — Franciszek Zdeb w Cz.: Wszystkie rozwiązania biorą udział w losowaniu, więc i Pańskie. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Z nadesłanych szarad, w miarę miejsca, skorzystamy. — Czesław Matuszyk w T.: Teczki jeszcze nie gotowe, gdy będą wysyłane, doniesiemy o tem w »Roli«. — Jan Nachwastacz w T.: Czy Pan naprawdę sądzi, że jaka administracya na świecie może wysyłać opaski same, bez numerów w środku. Nie trzeba być bardzo domyślnym, aby wpaść na koncept, że gdzieś na jakiejś poczcie lub w wagonie pocztowym opaska zsunęła się i zamięszała między inne, a numer został na boku bez adresu. Wkońcu przypominamy, że nie wypada pisać niegrzecznie do nikogo Uprzejmość jest cechą ludzi oświeconych, niegrzeczność cechą ludzi nieogładzonych i niewykształconych. — Władysław Bród w M.: Adres zmieniliśmy. Za numera należy się 50 hal. — Kuropatwa Józef w J.: »Podarek szczęścia« zależnym jest od losu a nie od nas. Proszę napisać, którego numeru Pan niema. — Jan Matula z L.: Prenumerata wraz z Kalendarzem kosztuje 4·50 Kor.; prosimy o nadesłanie jeszcze 1 Kor. — Puchałka Józef w D.: Dziękujemy za życzenia. I my pragniemy, by w każdym domu polskim znalazła się »Rola«. Zajdel Jan z G.: Reklamacyi nie otrzymaliśmy. Nr 45 wraz z czekiem wysyłamy. Teczkę otrzyma Pan bez dopłaty, bo »Rola« kosztuje rocznie tylko 4 K. — Szymon Ogorzał w R: Wysyłamy Panu »Rolę« i Kalendarz. Za teczkę należy się 50 hal. »Podarek szczęścia« zależnym nie jest od naszej dobrej woli, lecz od przypadku. — Jan Król z W.: Zapłacił Pan za ostatni kwartał 1911 r. i za 2 kwartały 1912, t. j aż do lipca 1912 r. — Jarmuła z Z.: Marki doszły, jak tylko teczki będę gotowe odeszlemy jedną Panu. Nowemu prenumeratorowi odsyłamy »Rolę«; należy się jeszcze 50 hal. — Wojciech Bałtowski w Ł.: Wysyłamy »Rolę« zaraz; należy się jeszcze 50 h. Julian Gromada w Ч.: Należy się za numera »Roli« 60 hal. — Walenty Kołodziej z B.: Nie wstrzymywaliśmy Panu »Roli«. Żądany numer wysyłamy powtórnie. Zmiany adresów kosztują 40 hal. — Jan Ermel z R.: Numeru 21 już nie mamy. — Wojciech Żak w P.: »Dziad i baba« umieścimy. — Franciszkowa Komorowa w K.: Za miłe dla nas słowa serdecznie dziękujemy.

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:

Andrzej Koczor z B. 2 K. — Niederthal Ant. z B. 2 K. — Groele Antoni z P. 2 K. — Gąsior Jakób z K. 4 K. — Król Jan z W. 3 K. — Duda Józef z S. 3·50 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 21 listop.

Pszenica	Kor.	12—	do	12·30	za 50 kg.
Żyto	„	10·20	„	10·60	„
Jęczmień	„	9·20	„	9·70	„
Owies	„	8·80	„	9·40	„
Otręby pszenne	„	6·80	„	6·90	„
Otręby żytnie	„	7·10	„	7·15	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 21 listopada:

Buhaje	Kor.	158	do	300	za sztukę
Woły	„	220	„	380	„
Krowy	„	150	„	300	„
Jałówki	„	100	„	300	„
Cielęta	„	25	„	80	„
Owce i kozy	„	24	„	30	„
Świnie bita waga)	„	130	„	146	za 50 kg.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Wprost, jako alkohol się używa,
Wspak ogrodzeniem dla klasztorów bywa.

2. SZARADA.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Pierwszem trzeciem niemy się posługuje,
Drugie trzecie nasze ciało podtrzymuje,
Całość w morzu bywa,
Jako przysmak się używa.

3. PRZEPLATANKA.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Brzd, chęć, do, dniej, dzia, dzień, dzim, gę, gę, ko, księ, ła, na, niu, niż, po, pi, prze, sać, sło, tę, tyl, tru, w, w, wach, wi, żyć.

Z powyższych zgłosek ułożyć piękne słowa napisane przez Adama Mickiewicza.

4. SZARADA.

(Ułożył Akłaibok).

Drugiego każdy na dachu niech szuka,
Zaś pierwszej trzeciej w orkiestrze żebraczej.
Całość odgadnąć, oj! to wielka sztuka:
Bo aż cztery w »Roli« — a człek się w nie [patrzy!

5. SZARADA.

(Ułożył Akłaibok).

Wyraz tak, jak się go woła
Nazwie część kutego koła.
Zaś z połową wstecz od czoła
Da instrument niezły zgoła.
Drugą pierwszą zwie się szkoła,
Lub też nazwą to kościoła.

6. SZARADA.

(Ułożył Fr. Zydroń).

Pierwsza trzecia trunkiem, pijesz go w pokoju,
Druga czwarta znakiem nie zawsze po boju,
Pierwszą drugą płacą, kiedy kto źle czyni,
Czwarta trzecia kościoła pewną część nazywa.
Całość się doszukasz nie zawsze w pustyni,
Bo i w zamieszkanym kraju czasem bywa.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 2 grudnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 46 *Roli*: 1. Szarada: **Amor-Roma,** 2. Łamigłówka: **Głowacki,** 3. Szarada: **Siedmiogród,** 4. Przeplatanka: **Kijem tego, co nie pilnuje swego,** 5. Szarada: **Trypolis,** 6. Szarada: **Żarnówka,** 7. Szarada: **Parasol,** 8. Kwadrat magiczny: **Wosk, opal, sale, kler,** 9. Przestawianka: **Niech żywi nie tracą nadziei, i przed narodem niosą oświaty kaganiec.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

I.

Cóż mojej wdzięcznej »Roli« mogę przynieść [w dani?
Jak szarad, zagadek nowe rozwiązanie.
Na czele wita nas amor, ten figlarz skrzydlaty,
I Roma-Rzym wspaniały, dumny z wielkiej [daty.
Za wolność Polski Głowacki walczy i ponosi [blizny,
A nawet życie składa w obronie Ojczyzny.
Siedmiogród kraj bogaty, a dla nas pamiętny,
Bo wielki Batory stąd był dla nas wzięty.
Prawdziwe są słowa przysłowia znanego:
»Kijem tego, co nie pilnuje swego«.
Widocznie Turcy dobrze to przysłowie znają,
Bo walczą o Trypolis, rąk nie opuszczają.
Żarnówka rzeczywiście jest częścią przedmiotu,
Sprawiającego w chatach niemało łoskotu.
Zaś parasol, rzecz to bardzo potrzebna,
Bez niej droga wśród deszczu niemożebna.
I tak jedna za drugą szarada się miga,
I występuje czterosłowny kwadracik magika:
W naszej polskiej ziemi wiele skarbów się [ukrywa,
A między innymi cenny wosk też bywa.
Szlachetny kamień opal, wpierw oszlifowują,
Następnie jubilerzy w pierścionki wprawiają.

Duże izby będą niezawodnie sale,
W których się wspaniałe odbywają bale.
A osoba duchowna wikary, sługa Boży,
Który nieraz dowody poświęcenia złoży.
Z ostatniej przestawianki zaś się przekonamy,
Iż my, Polacy, największych wieszczów posiadamy.
I bogata literatura narodu polskiego,
A bodźcem do pracy, piękne Juliusza Słowackiego
Słowa: »Niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec«.

W. Moroń z Ł.

2.

Nawet i wśród zagadek są różne symptoma,
Dowodem tego miasto starożytne Roma,
A i nasz zuch Głowacki z wsi Rzędowic rodem,
Przypomina się tutaj prawie mimochodem.
Nie narzekam na czasy, w którychto za młodu,
Uczyłem się poznawać góry Siedmiogrodu,
Wszystko się dzisiaj przyda i zdawa do czego
A więc: »Kijem tego, co nie pilnuje swego.
Człowiek chcący wykona, cokolwiek zamierzy,
Drżącą myślą spoglądam, gdzie Trypolis leży.
Uderza mię duch wolny, duch ożywia nowy!
Ostry, bo ostry, ale smaczny chleb wiejski żarnowy.
Ten parasol tej pary zapewne był śliczny,
Wosk, opal, sok, kler, to kwadrat magiczny.
»Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą«...
Te słowa wieszcza, są mi balsamem i rosą.

Józef Kulka.

3.

Pierwszą zagadkę wyrazami dwoma
Rozwiążę: pierwsze amor, drugie Roma.
Ze słówek: Wołyń, kos, sak, gacek, oko,
Będzie Głowacki, ceniony wysoko.
A więc w ten sposób z drugą łamigłówką
Koniec. Siedmiogród to następne słówko
Trzeciej szarady, a znów: »Kijem tego
Co, (jak to mówią), nie pilnuje swego« —
A rozwiązana jest już przeplatanka
O Trypolisie do nocy od ranka
Mówią wojskowi i różni cywile;
Nawet i Bzdura, choć gosposia mile
Go po pleczyskach pogłaszcze żarnówką,
O Trypolisie rzeknie często słówko.
Siódma szarada:
Parasol nielada!
Teraz z magicznym pana S. kwadratem
Trza się uporać, bo inaczej batem!
Więc: wosk i opal, sale, kler. O rety!
Jeszcze nie koniec? Wszak słowa poety
Złożyć: »Niech żywi nadziei nie tracą
I przed narodem kaganiec oświaty
Niosą« — to sztuka! Jeżelim ladaco
Wszystko rozwiązał: to mi dajcie baty!
Jakem zgadł,
Będę rad,
Bo już człeka
Książka czeka.

Wojciech Cetera.

4.

Głowackiego druha zawsze będę chwalił,
On do dział moskiewskich swe amory smalił.
Z Siedmiogrodu przyszedł król Stefan Batory,
Miał on z Moskalami wielkie rozhowory.
Trypolis dziś Włochom ością w gardle stoi,
Aby go mógł połknąć, Włoch się wielce zbroi!
Trzaby aż z żarnówką posłać Maćka Bzdurę,
Toby wnet rozpędził tę wojenną chmurę,
Która deszczem kul tak straszliwie zieje,
Że z parasola szyderczo się śmieje!
A Turcy dobrze biją »kijem tego,
Co nie pilnuje se wybrzeża swego«.
Kwadrat magiczny ma bogactwa wiele,
Bo z wosku świece znajdują się w kościele.
Opali nie znam, lecz widziałem sale,
W któryah kler uczyzstudentów wytwale,
I zawsze powtarza: Niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec!
Skończyłem i jestem też bardzo ciekawy
Jak się los zapatrzy na te moje sprawy?

Franciszek Zdeb.

5.

Stara Roma widząc, że jej w domu ciasno,
Najeżdża Trypolis, morderstwa jej hasło,
Turkom by się drugi nasz Głowacki przydał,
Ten, toby żarnówką Włochów stamtąd wygnał,
Bo kijem tego, co nie pilnuje swego;
Ale zawsze chytry złapać coś cudzego.
Amorem się Bartosz nigdy nie zabawiał,
Ani parasolem od deszczu zasłaniał.
W kwadracie magicznym brak mi dwie litery,
Bo są zamazane, jak i innych cztery,
Tylko w wielkiej sali jest i nieco kleru,
Możeby i wosku coś znalazł u steru.
Ale niech żywi nie tracą nadziei,
I z narodem idą chociażby w zawiei,
Z kagańcem naprzód dąż c do oświaty,
Ojczyzna nie szczędzi im zato zapłaty.

Ach! Zapomniałem o Siedmiogrodzie,
No, bo zapomnienie jest już teraz w modzie.

Jakób Paff.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: J. Bobrowski z O., A. Zieliński z M., H. Łukawski z J., A. Warchoł z Z., Zarząd Kółka rol. w Górkach, Józef Stach z J., Fr. Zydroń z W., Piotr Świrad z Cz., D. Stesłowicz z W., Bogusia Moroniówna z W., Adam Taska z J., Zarząd Kółka roln. w Jaworniku, Jan Moś z Cz., J. Bożek z J., Adela Bezokówna z K. m., J. Spławiński z J. p., Zofia Pawłowska z Z., Z. Oraczewska z Ż., Wincenty Flis z T., Józef Gąsior z S., Michał Dudek z Ż., Wojciech Burż z Rz., Jan Bylica z P., Kędzierski Piotr z P., Fr. Teper z M. K., Władysław Dubaj z J. p., S Stolarzewicz z D., Koło M cierzy szkol. w Stonawie, Józef Strasser z Cz., Wincenty Cechowy z P., Józefa Hirszbarg z K., Antoni Nowak z H., Julia Boratyńska z R., Fr. Klocek z N. T., Marya Synowcówna z Ś., Józef Jarmuła z Z., Józef Tabaszewski z M., Józefa Helena Łukasiewicz z J., N. Akłaibok z Ch. (wierszem), K. Baron z P., P. Jurosek z I., F. Kellner z P. L.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Frank Osbaldiston*** wylosował p. **Piotr Świrad** z Cz., zaś drugą p. t. ***Wielka wojna*** p. **Julia Boratyńska** z R.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.